

Ilustracja Polska

we Francji

Dena - PriA

We FRANCJI 1,5
En FRANCE frs. 1,5
W BELGJI 2,00
En BELGIQUE (fr. b.) 2,00
W HOLANDJI 0,1
En HOLLANDE guld. 0,1

ADRES

Redakcji i Administracji:
L E N S (Pas-de-Calais)
101, Rue Emile - Zola, 101.

Nr. 230

10-go lutego 1940 r. — Le 10 Février 1940.

Rok X.

Pierwsze posiedzenie Rady Narodowej Rzplitej Polskiej

Aktem ogromnej wagi dla umęczonej naszej Ojczyzny było powołanie dekretem prezydenta R. P., p. Władysława Raczkiewicza, Rady Narodowej, jako reprezentacji Narodu. Inauguracyjne posiedzenie Rady, której przewodniczącym obrano wielkiego i zasłużonego patriotę, Ignacego Paderewskiego, nacechowane było powagą i głęboką troską o losy Ojczyzny, tak straszliwie gnębionej przez wrogów. (Dalszy ciąg na str. 3)

Treść nr. 230

Pierwsze posiedzenie Rady Narodowej Rzplitej Polskiej.

(6 zdjęć). — Fragmenty z uroczystości otwarcia Uniwersytetu Polskiego w Paryżu.

—o—

Aktualności w obrazkach.

Różne zdjęcia.

—o—

Świąteczne wspominki.

Na tle Gwiazdki 1939 r., spędzonej przez żołnierzy polskich u rodzin wychodźczych.

—o—

Odkrywczy świata.

Kto, kiedy i co odkrył

—o—

Prezydent Ignacy Paderewski

mino, iż nie posiadał żadnego tytułu oficjalnego, był przyjmowany przez królów jak głowa państwa.

—o—

Najważniejsze wypadki na świecie

od r. 1914 — 1940 (z ilustracjami).

—o—

Milion w złocie.

(Odcinek powieściowy.

—o—

Wszystko dla złota.

(Obrazek z życia).

—o—

Nie taki diabeł straszny, jak go malują..

Wojna chemiczna groźna jest tylko dla nieprzygotowanych.

—o—

Rzeczy ciekawe i pouczające.

Tajemnica skarbów pałacu Windsor. — Błękitne psy z czarną łatką i zielonymi łapkami. — Każdy górnik niemiecki musi mieć swoją świnię. — Wędrująca góra. — 500-letni złot. — Niemcom brak wełny; cukier chcą wytwarzać z drzewa. — Murzyni emigrują z Ameryki. — Fenomenalna pamięć. — Gołębie uratowały lotnika. — Olbrzymia ośmiornica. — Odkrycie szczątków nieznanego płaza.

—o—

Anglik jest „zimny” tylko z pozoru. — Szwecja.

—o—

Humor.

Strona dowcipów.

—o—

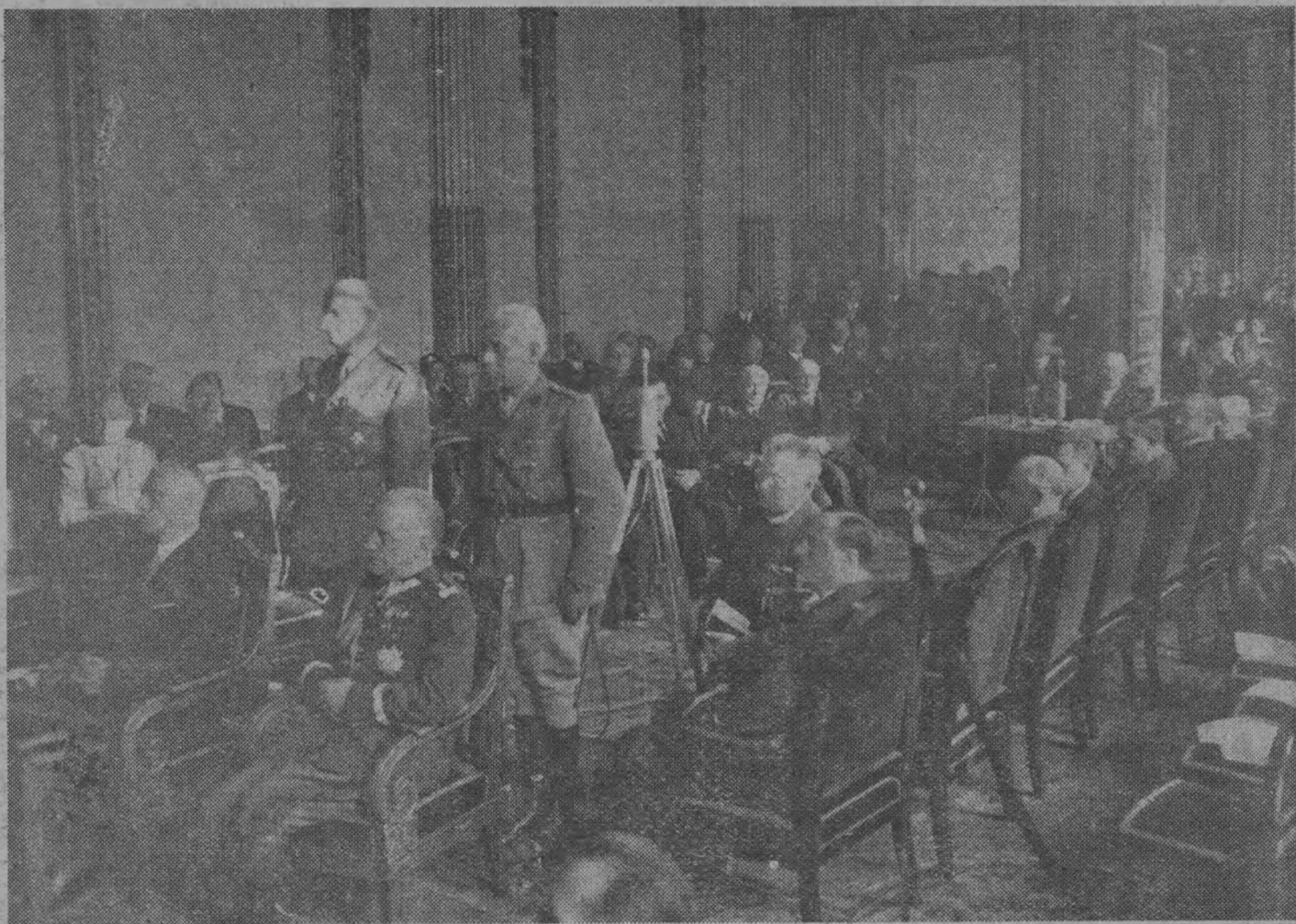
Dla dzieci i młodzieży.

Mały bohater. — Jezus wśród dzieci.

—o—

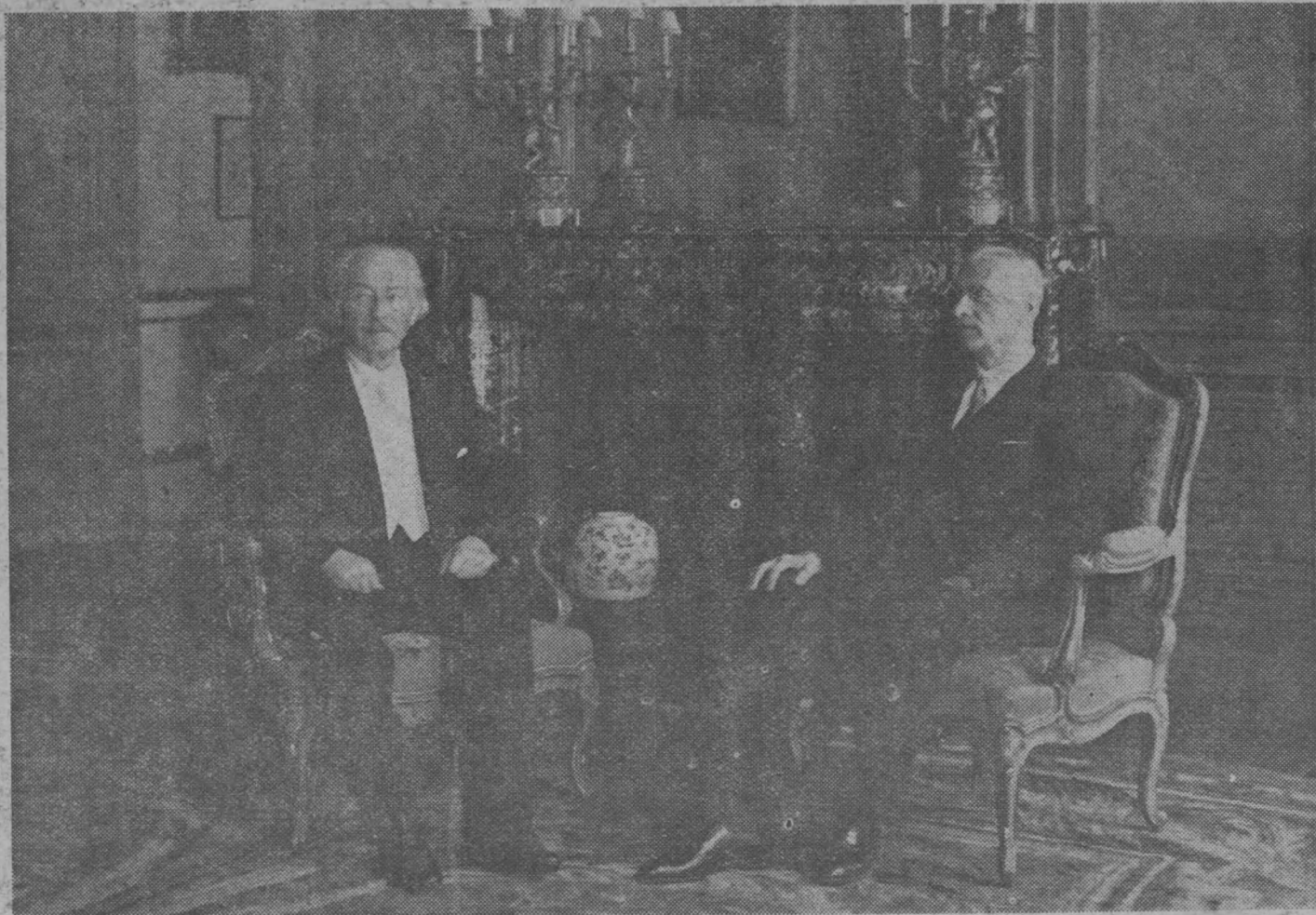
Wojna na morzu.

Opis i zdjęcia.



Ogólny widok sali posiedzeń Rady Narodowej. W rozmieszczeniu członków Rady wzorowano się na posiedzeniach senatów dawnej Rzeczypospolitej, kiedy to senatorowie siadali naprzeciw siebie, a miejsca, na których widać prezydenta Raczkiewicza i gen. Sikorskiego, zajmowali Król i Prymas. — W głębi przewodniczący Rady, Ignacy Paderewski.

(44261) Foto: Witeczak, Paryż.



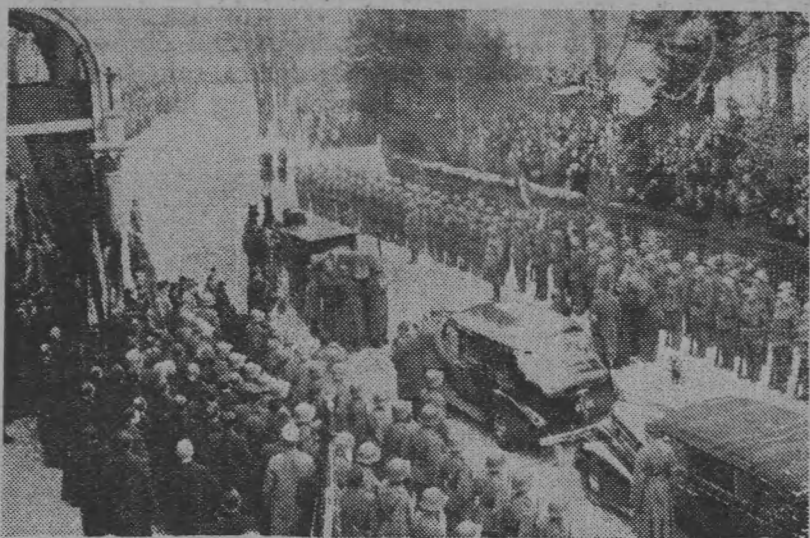
Panowie prezydenci: Ignacy Paderewski i Władysław Raczkiewicz.

(44262) Foto: Witeczak, Paryż.

FOP 1792



Król angielski Jerzy VI. w czasie inspekcji wojsk kanadyjskich „gdzieś” w Anglii. (44.458)



Ulicami Berna szwajcarskiego przeciąga kondukt żałobny z zwłokami prezydenta Motty, ostatnio ministra spraw zagranicznych Szwajcarii (44751)



„Pierwsze pokrzepienie” o świcie. (19590)



Na froncie. — Schron przeciwlotniczy w polu, pokrytym śniegiem. (35692)



Grupa lotników alianckich, na kilka minut przed odlotem na wywiad. (39582)

AKTUALNOŚCI W OBRZASKACH

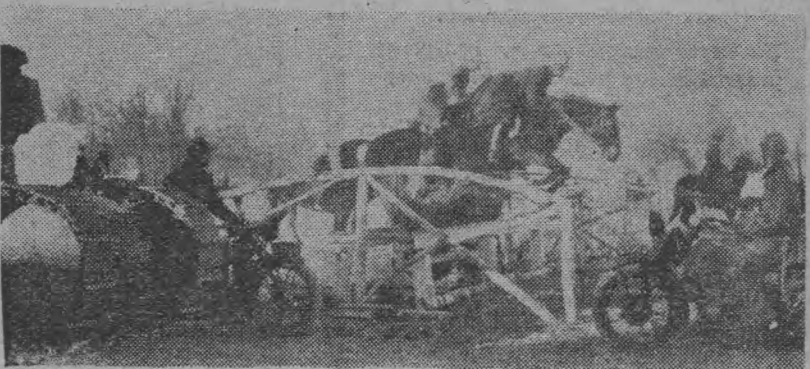


General Hering dekoruje komandorią legii honorowej generała Bucheton. (42019)

← Nowy minister wojny Wielkiej Brytanii, Oliver Stanley, wychodzi z ministerstwa wojny, po objęciu nowych funkcji. (2628)



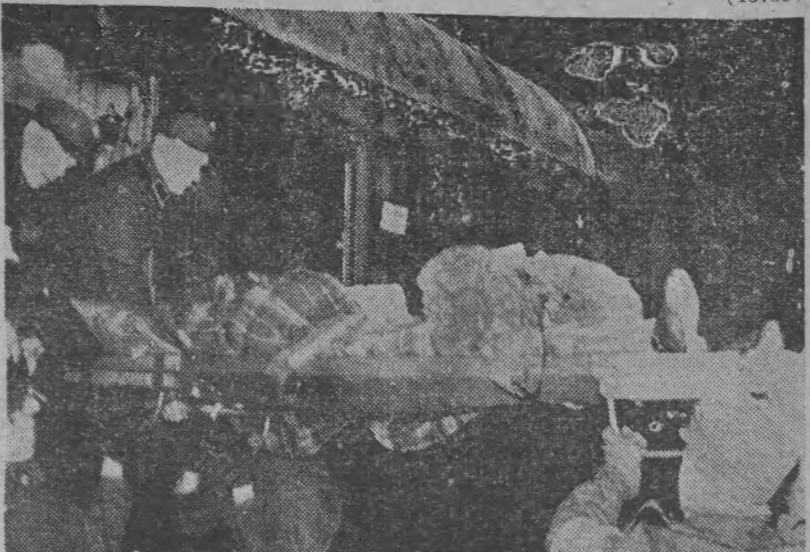
Armaty górskie transportuje się na grzbietach mułów. (41188)



W szkole kawalerii w Saumur uczniowie uczą się nie tylko jazdy konnej ale także wprawiają się w posługiwaniu się bronią motoryzowaną (39984)



Pielęgniarki szwedzkie opuszczają Sztokholm, udając się do Finlandii. (46759)



Z wojny rosyjsko - fińskiej. — Pielęgniarki z szwedzkiego Czerwonego Krzyża przenoszą rannych Finów. (43033)

(Ciąg dalszy z str. 1.)

Ponieważ powołania członków Rady nie było możliwym dokonać przez wybór, o powołaniu ich zdecydowały, jak stwierdził Pan Prezydent na inauguracyjnym posiedzeniu Rady „doświadczenia, zalety umysłu i charakteru, a wreszcie autorytet, który daje zasługa”.

W Radzie Narodowej reprezentowane są wszystkie kierunki myśli politycznej. Z wychodźstwa we Francji należą do Rady: pp. Józef Szymanowski, prezes Zw. Polaków we

Francji i prezes Polskiego Centralnego Komitetu Obywatelskiego, Józef Szczerbiński, sekretarz Tow. Uniwersytetu Robotniczego, działacz Sekcyj Polskich przy C. G. T. i F. E. P., Michał Kwiatkowski, wydawca „Narodowca”, z ramienia Stronictwa Pracy.

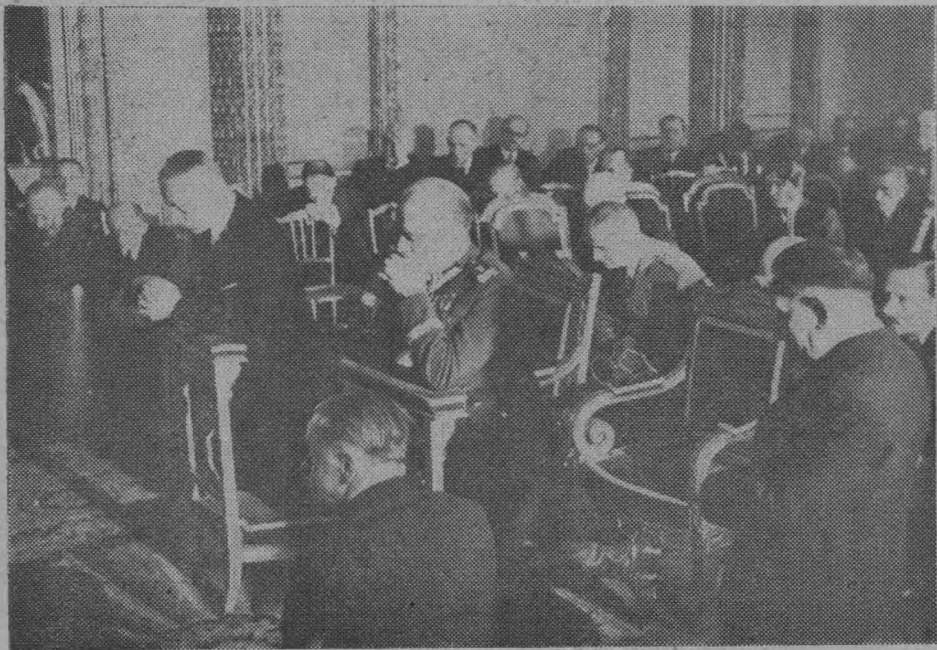
Rada Narodowa odbyła inauguracyjne, uroczyste posiedzenie w Paryżu. Po cichej Mszy św., odprawionej przez ks. biskupa Gawlinę, Pan Prezydent Raczkiewicz, wygłosił przemówienie, oświetlając w nim cele i zadania Rady Narodowej, ma-

jącej dla rządu stanowić sprawdzian jego poczynań. Potem rozpoczęło się właściwe posiedzenie, któremu przewodniczył Ignacy Paderewski. Sędziwy patriota odebrał przyrzeczenia od członków Rady i wygłosił przemówienie, przepojone żarem miłości Ojczyzny i głęboką troską o jej przyszłość. Dostojny mówca powiedział m. in.: „Polska jest nieśmiertelna. Wyzwolimy ją z pęt niewoli i odbudujemy z gruzów”.

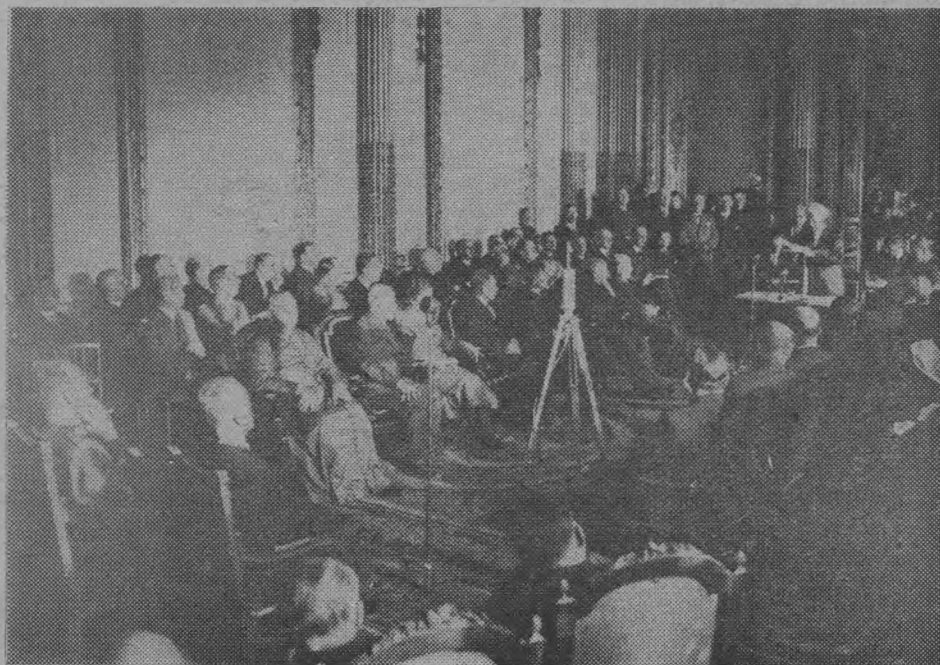
Premier i Naczelny Wódz, gen. Wład. Sikorski mówił głównie o postępkach w organizacji armii polskiej.

Po wyborze przewodniczącego Rady, wiceprezesów i sekretarza, ks. Brandys, jako sekretarz, odczytał wnioski, zgłoszone przez przewodniczącego Rady, Ignacego Paderewskiego. Wnioski, wypowiadające zamierzenia Rady na najbliższą przyszłość, przyjęte zostały jednogłośnie.

Dalsze posiedzenia Rady Narodowej odbywać się będą w siedzibie Rządu Rzeczypospolitej Polskiej w Angers.



Członkowie Rady Narodowej w skupieniu słuchają Mszy św., odprawianej przez ks. biskupa Gawlinę. (44270) — Foto: Witczak, Paryż.



Ignacy Paderewski wygłasza historyczne swoje przemówienie na inauguracyjnym posiedzeniu Rady Narodowej w Paryżu. — (44260) Foto: Witczak, Paryż.



Generał Władysław Sikorski na posiedzeniu Rady Narodowej mówi o Armii Polskiej we Francji, której żołnierze „marzą o chwili, w której będą mogli pójść śladem bohaterów Warszawy, Helu, Westerplatte, Lwowa, Modlina i tylu innych, i pomścić krzywdy swych braci.” — (44263) Foto: Witczak, Paryż.



Moment z przemówienia Pana Prezydenta R. P. Raczkiewicza na posiedzeniu Rady Narodowej R. P. w Paryżu. — (44272) Foto: Witczak, Paryż.

Fragmety otwarcia Uniwersytetu Polskiego w Paryżu

W Paryżu odbyło się uroczyste otwarcie Uniwersytetu Polskiego, w obecności najwyższych przedstawicieli Polski i Francji oraz osobistości ze świata naukowego francuskiego i twórcy Uniwersytetu Polskiego Zagranicą, wybitnego uczonego polskiego, prof. Haleckiego.



(44267) Foto: Witczak, Paryż.

Gen. Kukiel przemawia w czasie uroczystości otwarcia Uniwersytetu Polskiego w Paryżu.



(44266) Foto: Witczak, Paryż.

Świąteczne wspominki

Pamiętne to były te święta Bożego Narodzenia z roku 1939. Nikt z Polaków już dawno takich świąt nie przeżywał, nawet tu na emigracji.

Jakiś smutek nieukojoną ciężką chmurą leżał na ludzkich sercach. Ani nie było słyhać dokoła tych rwących, wesołą falą płynących kołęd; ani głośniejszych pokrzyków, ani skocznej muzyki; nawet jeść się ludziom nie chciało, chociaż wszelkiego jadła było wbród.

Ludzie w koloniach polskich we Francji jakby oniemieli. Każdy był jakiś ociężały, milczący; każdy nadstawiał tylko ucha i nadsluchiwał, co targała nim w wnętrzu, a zaciskała pięści i gryzła wargi aż do krwi, żeby nie wyrzec jakiegokolwiek przekleństwa.

I jakżeż tu można było kołędować, jakżeż mówić o dobrodziejstwie, o sprawiedliwości, o miłości ludzkiej, kiedy krew niewinnie przelana w Polsce ciążyła wszystkim kamieniem węgielnym na sercach, kiedy głuche jęki i płacze polskich kobiet i dzieci mordowanych nieludzko przez wyzutych ze wszelkiego człowieczeństwa zbirów moskiewskich i niemieckich płynęły z nieszczęśliwej naszej Ojczyzny...

Nie. Po strokroć nie. Trudno było o tym zapomnieć, chociaż ksiądz proboszcz tu i ówdzie mówił o chrześcijańskim pobratymstwie, o wspólnej wieczności i miłości bliźniego.

Pewnie, że tradycji wielowiekowej nikt się nie sprzeciwił. Była wigilia, była choinka, były kołеды i wszystko inne. Ale jakaś zgorzkniała nad ludźmi, że czasem, ni stąd nie zowąd, czy to przy opłatku, czy przy jedzeniu, czy przy rozmowie, ktoś łzę cichaczem otarł, albo płaczem nagle wybuchnął...

Rozjaśniły się dopiero te ciężkie chwile, kiedy do kolonii zaczęli zjeżdżać na urlopy żołnierze polscy. Matko święta! Tutaj już urwały się upusty ludzkiej ciekawości. Jak taki jeden z drugim, w wojskowym mundurze, kroczył równym krokiem przez ulicę kolonii i zdaleka świecił białym orzelkiem na czapce, dziewczęta wybiegały z domów i pokazywały sobie takiego zucha palcami nawzajem.

Starzy górnicy, co to jeszcze z Westfalii przybyli i tu resztę swego żywota przy synowskim boku spędzali, ścigali się od przypiecznych ław i wychodzili popatrzeć, poraz pierwszy w życiu, na polskiego żołnierza.

A dzieciaki, to już wprost, bez żadnego zawstyżenia biegły za nim, nawołując się z cicha i poszeptując:

— Kolberczok! mo na nogach, jak nosz ociec.

— A jaki pasek galanty!

— A czopka! Łorzeł taki som, jak u nos w szkole.

— Cichoście-no! To polski żołdat idzie.

Oglądali wszyscy takiego zucha od góry do dołu, ze wszystkich stron. Nic się przed ich okiem, jak przed okiem szefa kompanii, ukryć nie dało.

A co to była za duma i zaszczyt, kiedy taki gość świąteczny zasiadł przy rodzinnym stole, w gronie znajomych i sąsiadów, i zaczął opowiadać o walkach w Polsce, o tworzącej się Armii, o niezłomnej woli każdego żołnierza polskiego, by pomścić krwawo zbrodnicze czyny najeźdźców, by Polskę wyzwolić z rąk wrogów.

To już nie był on, Antek, Józek czy Franek albo jakiś inny, ale bohater, wojownik polskiej sprawy, co idzie spełnić świętą ofiarę, co imieniem ich wszystkich pójdzie do walki na śmierć i życie o najdroż-

sze prawa narodu polskiego; o wolność, równość i niepodległość.

Nie żalowano niczego takiemu wojakowi. Łały się do kieliszków trójgwiazdkowe koniaki i wyborne likiery, strzelały korki od szampana i podnosiły się głosy od wiatów na cześć Polski, które ginęły w ogólnym rozhovorze i braterskim uścisku.

Kolonie polskie we Francji gości-

jak roześmiany i uradowany szedł do grona starszych i zajmował dawne miejsce przy stole.

I znowu toczyła się niewyczerpana rozmowa o tym, co zajmowało i zajmuje serca i umysły wszystkich Polaków na świecie: Polska!

Polska! Ojczyzna nasza najdroższa. Któż kochać i cenić Ją więcej potrafi, jak nie my, emigranci, coś-



Grupa „naszych” z kompanii administracyjnej (5332/3)

ły żołnierzy naszych całym sercem, nie szczędząc jadła i napitku. Nie było wprawdzie żadnych wielkich zebrań, bo władze francuskie na to nie pozwalały, no, i po prawdzie, czas nie był po temu, ale tak „przysposobności” schodzili się ludzie, prywatnie, u sąsiadów, gawędzili, nadsluchiwali z radia wszelkich nowości, wierząc, że przyjdzie w końcu chwila pomsty i ostatecznej sprawiedliwości.

Dziewczęta tylko markotniały trochę, bo nijak nie miały sposobności spędzić „sam na sam” chwilę z takim urlopnikiem. To starzy nie pozwalali mu odejść od stołu, to znowu, gdy mu się to od czasu do czasu udało, i zamienił na osobności parę słów z jedną, już druga zazdrosnym okiem na to patrzyła, odrazu milkła, stawała się pochmurna i zła jak osa.

Ale trwało to tylko chwilę; bo taki wojak wyszkolony każdego umiał rozruszać, każdemu słówko dobre rzucił, każdego ujął swoim otwartym sercem żołnierskim i prostotą swego obojęcia.

— To trudno — mówił — wojsko, to nie takie sobie towarzystwo wzajemnej adoracji. U nas robota idzie, jak ch... ale kłąć nie wolno, bo to brzydki zwyczaj. Pewnie, że odwykliśmy od widoku kobiecego wizerunku. Człowiek, jak raz na tydzień odwiedzi ten Coquinville, to wcale na nic nie patrzy, tylko się cieszy tą krótką swobodą, z kolegami jednego wypije i zaraz do koszar wyrusza, żeby go szef albo porucznik na spóźnieniu nie przychwycił. I dlatego, jest bardzo przyjemnie z nami, moje karmelki! Ale cóż, i ze starymi trzeba też o tym i owym pogadać. A zresztą teraz, wiadoma rzecz, wojna jest i nie ma czasu na wszelkie „arotyczne” i matrymonialne zamiary.

Po wojnie, to i owszem, pogadamy, jak Bóg da doczekać. Teraz kobieta, to karabin, jak mówi nasz drużynowy. I dlatego dajcie po jednym buziaku i do widzenia!

Na taką propozycję rozbiegały się dziewczęta, jak stado wróbli, a wo-

my lata spędzili na obczyźnie wschłuchani w odgłosy płynące z Polski, wpatrzeni w dziką tęsknotą w tę stronę, gdzie ręce i rozumy naszych braci budowały C. O. P., Gdynię, ulepszały drogi, wznosiły gmachy i fabryki. Ona żyła w nas we śnie i na jawie. Szczęśliwcem był ten, kto mógł zbierać sobie trochę grosza i po długiej tułaczce wrócić w ojczyście strony; szczęśliwcem był ten, kto mógł ją w czas wakacyjny odwiedzić, zachłysnąć się polskim powietrzem, kryjąc w gorącej tęsknocie i miłości wszystkie krzywdy i upokorzenia. Tęczowymi barwami była malowana, blaskiem glorii wielkich bohaterów okryta, wielka, zwycięska, droga i kochana dla wszystkich rozproszonych po świecie cór i synów — Polska!

Żołnierze polscy, po paru dniach urlopu, powrócili z powrotem do koszar. W koloniach została pustka. Brak jest znowu czegoś. Znowu po nocach ludziom coś spać nie daje. Znowu coś dusi za gardło.

Ale nie myślcie, że to troska o



Polscy żołnierze pozdrawiają Czytelników „Ilustracji Polskiej”. — Pozdrowienia nadesłali trzej koledzy, (od lewej do prawej): st. strz. sanitariusz, Szukała Czesław, kapral Jankowski i Nowak Józef, doskonały biegacz, brat znanego rekordzisty, Jana Nowaka, emigranta polskiego z Belgii. (5263:1)

chleb powszedni, albo troska o stracie kilkudziesięciu franków lub nawet boleść po utracie pracy — nie. To jest ból miłości i głębokiego zrozumienia, że Polska cierpi, że naród polski jest nieszczęśliwym, że

Odkrywcę świata Kto kiedy i co odkrył?

Kontynent i kraje globu ziemskiego odkrywane były przez śmiałych podróżników i żeglarzy już wówczas, gdy środki komunikacyjne istniały zaledwie w zalążku. Przeważające miejsce wśród odkrywców zajmowali żeglarze, których ojezdząz były kraje nadmorskie.

W chronologicznej kolejności pierwsze miejsce przypada Norwegii: Eryk Czerwony odkrył Grenlandię w roku 995 roku, Lief Erikson dobił do pół. wschodnich brzegów Ameryki w 1000 r. W 1295 roku odbył Marco Polo (Wenecja) podróż do Chin, Indii i Persji. W 1402 roku podróżnik francuski, Jean de Bethencourt, odkrywa wyspy Kanaryjskie, w 1431 żeglarz portugalski, Velho Cabral, ląduje na wyspach Azorskich i zatyka tam sztandar swego kraju. Od 1431 do 1489 roku żeglarze portugalscy odkrywają raz po raz Senegal, Nigerię, kraj nad brzegami Kongo, przylądek Dobrej Nadziei (Diaz), Mozambik.

W 1492 r. Krysztóf Kolumb odkrywa ląd Ameryki Środkowej. Vasco da Gama opływa przylądek Dobrej Nadziei i odkrywa drogę do Indii. Hiszpan, Pinzon w 1499 roku dociera do ujścia Amazonki, w 1500 Portugalczyk, Diaz dobił do brzegów Madagaskaru. Również Portugalczyk, Magellan, odkrywa wyspy Filipińskie Pizarro, Hiszpan, odkrywa i zdobywa Peru, a d'Almagro — Chili. W 1535 roku Francuz, Cartier, ląduje nad brzegiem Kanady u ujścia rzeki św. Wawrzyńca. W 1606 r. Hiszpan, Torres, nawiązuje pierwszy kontakt Europy z Australią. Nowa Zelandia odkryta zostaje w 1642 roku dzięki wyprawie Holendra, Tasmana; od jego nazwiska otrzymuje nazwę wyspa Tasmania.

Z początkiem XVIII wieku coraz częściej figurują na liście odkrywców nowych krajów Anglicy: Cooc (1768) ląduje na wyspach Hawajskich, Bruce (1770) dociera do źródeł błękitnego Nilu, Mungo Park (1795) przeprowadza badania nad brzegiem rzeki Niger. W roku 1823 Denham i Claperton docierają do tajemniczego jeziora Czad w głębi Afryki, Laing zaś (1826) dostaje się po zwycięstwie tysiąca przeszkód do Timbaktu, Livingstone (1841), dokonywa szeregu podróży i obserwacji w Afryce Południowej, Speke (1858) odkrywa wielkie jezioro Victoria, Stanley (1876) przedziera się przez puszcze nad brzegi Kongo. W 1877 roku Crevoux (Francja) odkrywa Guianę, de Brazza bada wielkie połacie Afryki Ekwatorialnej nad środkowym biegiem Kongo. Komandor Peary (USA) w 1886 roku odkrywa północne brzegi Grenlandii.

Lista powyższa nie wyczerpuje wszystkiego, co zdziałali śmiały i ofiarni odkrywcy. Dzisiaj jednakże pozostała już niewielka liczba białych plam na mapach geograficznych.

Ojczyzna nasza w niewoli.

Emigracja polska obca wszelkim wpływom politycznym, a wychowana w kulcie do własnej mowy, obyczajów i przepojona głębokim patriotyzmem do swej Ojczyzny, gorąco odczuwa los, jaki przeżywają nasi bracia w kraju. Ta świadomość nie daje im spokoju.

Ale mimo wszystko nikt nie traci nadziei, że żołnierz polski, że Armia polska wraz ze swymi Sprzymierzeńcami, dokonają dzieła sprawiedliwości, jakiej wszyscy Polacy i świat cały od nich oczekuje.

Oby przyszłe święta Bożego Narodzenia, zastały nas razem, w zdrowiu i w wolnej, wielkiej Ojczyźnie.
Julian Majcherczyk.

Prezydent Ignacy Paderewski

mimo, iż nie posiadał żadnego tytułu oficjalnego był przyjmowany przez królów jak głowa państwa

Prasa belgijska bardzo żywo komentowała w ostatnich dniach wiadomość o pojawieniu się na widowni politycznej tak popularnej i znanej w Brukseli postaci, Ignacego Paderewskiego, największego z pośród żyjących dziś na świecie Polaków. W związku z tym przychodzą nam na myśl wspomnienia z licznych wizyt naszego prezydenta w Belgii, w czasie których przyjmowano go nie jako genialnego pianistę, lecz jako najwybitniejszego reprezentanta wielkiego, trzydziestopięciomilionowego narodu.

Ignacego Paderewskiego łączyły niezwykle serdeczne, poprostu przyjacielskie stosunki z belgijską parą królewską. W 1932 r. przybył on do Brukseli, gdzie wystąpił we wspólniejszej sali „Palais des Beaux Arts”. Dochód z tego koncertu przeznaczony był na cel filantropijny, pozostający pod protektoratem królowej.

Na kilka dni przed tym koncertem król Albert i królowa Elżbieta zaproszeni zostali przez monarchę angielskiego do Londynu i przypuszczano, iż nie będą oni mogli być obecni na koncercie naszego wielkiego rodaka, zwłaszcza, że do wizyty pary belgijskiej w Anglii przywiązywano olbrzymie znaczenie polityczne. Wiązała się ona z inicjatywą króla Alberta, który zaprojektował wówczas, w obliczu rosnącego na całym świecie kryzysu, by wszystkie państwa przystąpiły do stopniowego obalenia barier celnych. Przepowiedział on, iż kryzys ten doprowadzi do gospodarczego osłabienia i konsekwencją jego może być nowa wojna.

Prasa belgijska witała wówczas Ignacego Paderewskiego, jak głowę państwa. Wielkie dzienniki brukselskie poświęcały mu wstępne artykuły, jednocześnie zaś 3.000 miejsc w „Palais des Beaux Arts” zostało rozchwytych na wiele dni przed koncertem.

Nigdy nie zapomniemy widoku sali, wypełnionej po brzegi śmietanką społeczeństwa belgijskiego. W jednym z foteli dostrzegliśmy przywódcę II międzynarodówki, Emila Vanderveldego, dziś nieżyjącego, który specjalnymi sympatjami nas nie obdarzał, obok niego siedział słynny teoretyk socjalizmu, Louis de Brouckere, późniejszy przywódca drugiej międzynarodówki. Dostrzegliśmy również najwybitniejszych działaczy katolickich z hr. Cartonem de Wiartem, wielokrotnym premierem Segersem i Jasparem, na czele. Nie brakło żadnego ministra. Partia liberalna była reprezentowaną przez swych najwybitniejszych przedstawicieli. W jednym z pierwszych rzędów siedział wieloletni minister spraw zagranicznych, Paul Hymans, który z dumą nosił tego dnia najwyższe nasze odznaczenie „Orla Białego”. Otrzymał on je za podpisanie traktatu wersalskiego. Korpus dyplomatyczny był obecny w komplecie. Nigdy jeszcze nie widzieliśmy w Brukseli tak wspaniałego zgromadzenia.

Łoża królewska była pustą. Wiedziano jednak, iż król Albert i królowa Elżbieta, którzy tego dnia rano byli jeszcze w Londynie, uczynią wszystko, by przybyć na ten koncert. Opuścili oni angielską parę królewską przed południem, skracając o jeden dzień swą wizytę w Anglii. Z Douvru do Ostendy przewiózł ich statek belgijski. W Ostendzie czekał specjalny pociąg, który na 45 minut przed koncertem zatrzymał się na maleńkim, zapomnianym dworcu brukselskim — Laeken, po-



łożonym w pobliżu pałacu królewskiego. W miarę otrzymywania tych wiadomości, wszyscy byli przekonani, iż królowa Elżbieta i król Albert przybędą na koncert z wielkim opóźnieniem. Omylono się jednak. Punktualnie o godzinie dziewiętej, rozchyliła się kotara łoża i ukazała się w niej para królewska. W kilkadziesiąt sekund później ukazał się na estradzie Ignacy Paderewski. Król i królowa powstali ze swych miejsc, a za nimi cała sala.

Nie zapomniemy nigdy tej krótkiej chwili, kiedy to elita społeczeństwa belgijskiego oddała spontanicznie hołd naszemu wielkiemu rodakowi.

Na koncercie tym siedzieliśmy na najwyższym piętrze, obok malarza naszego Mieczysława Rakowskiego, propagatora starych murów krakowskich w Belgii. Obserwowaliśmy go, jak drżącą ręką starał się przedstawić na płótnie obraz, znajdujący się przed nami. Ignacy Paderewski nie tylko grał, lecz i wspaniałą swą postacią porwał nas poprostu i przenosił gdzieś daleko, w krainę bajek i marzeń. Jego biała, wieszczą głowa falowała nad ciemną plamą fortepianu. Gdy kończył, mijalo zawsze kilka sekund, w czasie których publiczność powracała do rzeczywistości i huraganowymi brawami mu dziękowała.

Uwagę wszystkich przykuwało również zachowanie się królowej Elżbiety. Chwilami widać było, iż koncert ten przeżywa ona w ten sposób, jakby sama brała w nim udział. Oklaskiwała ona naszego wielkiego rodaka bez przerwy. Później, wraz z innymi, prosiła o bisy, aż do chwili, gdy król Albert szeptem powiedział jej i co bez trudu zrozumieliśmy, że Paderewski musi być przemęczonym.

W dwa lata później, król Albert

padł ofiarą tragicznego wypadku. Do Brukseli zaczęły ścigać na jego pogrzeb specjalne misje, na których czele znajdowały się głowy państw. Z Anglii przybył następca tronu ks. Walii, z Francji prez. Lebrun, z Włoch następca tronu ks. Humberto, z Bułgarii król Borys. Wszystkie kraje skandynawskie były reprezentowane przez swych królów lub też przez następców tronu.

Z Polski przyjechała niezwykle szczupła misja, składająca się z generała i jego adiutanta kapitana, do których przyłączył się attache wojskowy z Paryża i członkowie poselstwa z Brukseli.

Kolonia nasza w Brukseli nie mogła zrozumieć, dlaczego tak skromnie na pogrzebie króla - żołnierza, jesteśmy reprezentowani.

W przeddzień pogrzebu dowiedzieliśmy się, że przyjeżdża do Brukseli z Szwajcarii Ignacy Paderewski. Udaliśmy się na dworzec, gdzie znajdowała się kompania wojska i ogromne tłumy publiczności. Wojsko przybyło złożyć honory, przyjeżdżającemu królowi Sjamu. O tym, iż tym samym pociągiem przybywał nasz wielki rodak, nikt z obecnych na dworcu Belgów nie wiedział.

Mistrza Ignacego Paderewskiego dostrzegliśmy w jednym z pierwszych wagonów. Pomogliśmy mu wyjść. W tej samej chwili przechodziła obok nas grupa fotografów belgijskich. Poznawszy naszego rodaka, porzucili króla Sjamu i w naszym kierunku ustawili aparaty.

Wieczorem w dziennikach belgijskich obok głów państwa i ich najwybitniejszych reprezentatów znajdowała się fotografia prezydenta Ignacego Paderewskiego.

Zaraz po przybyciu naszego rodaka, wyłoniła się sprawa miejsca,

jakie zajmie on w orszaku pogrzebowym. Ignacy Paderewski nie posiadał żadnego tytułu oficjalnego, prócz tego, iż był on przyjacielem i to nawet bliskim, zmarłego monarchy. Protokół jednak wymagał, iż w pogrzebie mogli wziąć udział tylko członkowie rodziny królewskiej, przedstawiciele oficjalnych misji zagranicznych oraz Belgowie, z racji ich funkcji urzędowych. Paderewski przybył zaś na pogrzeb jako osoba prywatna i z tego powodu głowiono się w Brukseli, jakie miejsce on zajmie. Najlogicznym rozwiązaniem byłoby zaproponowanie mu stanięcia na czele misji polskiej. Przedstawiciele nasi jednak zadrżeli. Co powie na to Warszawa? Nie mogli oni brać za to odpowiedzialności na siebie. Nasza sfera rządząca mogłaby ich później ukarać. Postanowiono nawet nie dopuścić prezydenta Paderewskiego, by szedł w naszej misji, wśród innych członków.

Dwór belgijski wiedział jednak o tych wszystkich trudnościach i wielki marszałek zatelefonował do naszego posła z zapytaniem, czy zgadza się on na to, by w misji polskiej znalazł się wielki nasz rodak? Dworowi królewskiemu odmówić rzecz oczywista nie było można i Ignacy Paderewski postępował wraz ze swym sekretarzem p. Strakaczem za trumną króla - Żołnierza, w drugim szeregu, za naszym posłem, generałem i attache wojskowym. Było mu to jednak obojętne. Publiczność i tak w misji naszej nikt inny prócz Ignacego Paderewskiego nie widział. Gdy później opublikowano w prasie zdjęcia polskiej misji, dziennikarze zagraniczni, powycinali z niej wszystkich jej członków, zostawiając samego tylko Paderewskiego. Osobistość naszego rodaka wystarczyła za kompanie wojska, które przysłały do Brukseli Francja i Anglia. Cała Belgia wiedziała, iż Polska była na tym pogrzebie reprezentowaną przez swego największego człowieka. Ignacy Paderewski tego dnia uratował nas od kompromitacji.

O prestiżu, jaki prezydent Ignacy Paderewski posiada zagranicą, mówi najlepiej poniższe wspomnienie.

Po pogrzebie króla Alberta, głowy państw obcych były przyjęte przez królową - wdowę. Tragiczna śmierć króla Alberta wpłynęła na nią tak deprymująco, iż sama bardzo ciężko zaniemogła i przez pewien czas stan jej zdrowia budził powszechne obawy.

Prezydent Ignacy Paderewski zaraz po pogrzebie miał odjechać do Szwajcarii. Wiedząc jaki jest stan zdrowia królowej Elżbiety, nie starał się o żadną audiencję w pałacu i pragnął równie dyskretnie opuścić Brukselę, jak do niej przyjechał. W pałacu jednak o tym się dowiedziano i królowa Elżbieta wyraziła życzenie, ażeby obok głów państwa podziękować również osobiście naszemu wielkiemu rodakowi. Marszałek dworu zatelefonował do niego do hotelu. Nieszczęście jednak chciało, iż Ignacy Paderewski miał za dwie godziny pociąg, w międzyczasie zaś wyznaczono audiencję następcy tronu angielskiego. Myślano już, iż wizyta ta nie dojdzie do skutku. Królowa Elżbieta jednak się uparła. Zwrócono się do ks. Walii i wyjaśniono mu sytuację. Ten usłyszawszy o tych komplikacjach, sam zaproponował, ażeby audiencję jego przełożyć na dzień następny. To pozwoliło na przyjęcie w godzinę później naszego prezydenta.

T. Rybak.

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI NA ŚWIECIE!

1914

1940



Czerwiec 28, 1914 ... Arcyksiążę Ferdynand i jego żona zamordowani w Sarajewie. Wojna wybuchła 28 lipca.



Sierpień 15, 1914 ... Otwarcie Kanału Panamskiego.



Kwiecień 6, 1918 ... Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom.



Maj 7, 1915... Niemiecka kłoda podwodna zatopiła Lusitanię.



Listopad 7, 1915 ... Prezydent Wilson ponownie wybrany.



Marzec 12, 1917 ... Wybuch Rewolucji w Rosji.



Lipiec 18, 1918 ... Alianci podjęli wielką ofensywę.



Listopad 9, 1918... Kaiser abdykował.



Listopad 11, 1918 ... Zawieszenie broni.



Styczeń 16, 1919 ... 18ty dodatek do Konstytucji (Prohibicja) ratyfikowany.



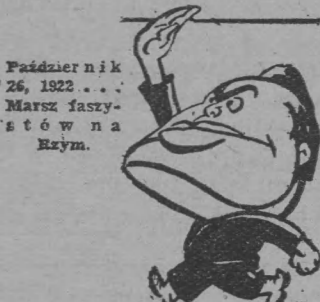
Czerwiec 28, 1919 ... Podpisanie Traktatu Wersalskiego.



Sierpień 28, 1920 ... Kobiety w Stan Zjednoczonych otrzymały prawo głosowania.



Listopad 2, 1920 ... Harding wybrany prezydentem.



Październik 26, 1922 ... Marsz faszystów na Rzym.



Styczeń 1, 1923 ... Powstała Unia Sowieckich Republik.



Styczeń 10, 1923 ... Francuzi zajęli zagłębie Ruhr.



Sierpień 2, 1923 ... Śmierć Hardinga - Coolidge prezydentem.



Listopad 8, 1923 ... Pucz Hitlera w piwnicy w Monachium. Hitler później uwięziony.



EIN BIER!

1923 ... Inflacja w Niemczech.



Maj 12, 1926... Przewrót Majowy w Polsce; Polska na bezdrożu.



Maj 20, 1927 ... Lindbergh przeleciał przez Atlantyk.



Październik 23, 1927 ... Stalin skazał na banicję Trockiego.



Listopad 6, 1928 ... Hoover wybrany prezydentem.



Październik 23, 1929 ... Krach giełdy. Nadejście kryzysu światowego.



Wrzesień 19, 1931 ... Japonia najechała na Mandżurię.



Listopad 8, 1932 ... Roosevelt pobił w wyborach Hoovera.



Styczeń 30, 1933 ... Hitler Kanclerzem Niemiec



Czerwiec 30, 1934 ... Krwawy przewrót hitlerowski.



Lipiec 25, 1934 ... Naziści zamordowali kanclerza Austrii.



1934 ... Największa w historii Stanów Zjednoczonych posucha.



Październik 9, 1934 ... Dewaluacja dolara amerykańskiego.



Styczeń 13, 1935 ... Plebiscyt w zag. Saar na korzyść Niemiec.



Październik 2, 1935 ... Włochy najechały Etiopię.



Grudzień 11, 1935 ... Król Edward VIII abdykował.



Lipiec 17, 1936 ... Wybuch wojny cywilnej w Hiszpanii



Lipiec 27, 1937 ... Japonia najechała Chiny.



Marzec 12, 1938 ... Niemcy zaanektowały Austrię.



Wrzesień 29, 1938 ... Niemcy zabrały Sudety.



Marzec 15, 1939 ... Niemcy zabrały resztę Czechosłowacji.



Kwiecień 7, 1939 ... Włochy zabrały Albanię.



Sierpień 24, 1939 ... Podpisanie przymierza Sowietów z Niemcami.



Wrzesień 1, 1939 ... Najazd Hunów na Polskę; Wrzesień 3 ... Francja i Anglia wydają wojnę Niemcom.



Październik 4, 1939 ... Stalin i Hitler dzielą się łapem.



Listopad 8, 1939 ... Zamach na Hitlera w Monachium.



Listopad 30, 1939 ... Sowiety najechały Finlandię.

ADAM CZEKALSKI

MILION W ZŁOCIE

POWIEŚĆ

10)

— Dawaj go! — rzucił ostro mister John i wzięwszy list z rąk służącego, poszedł do pokoju, w którym zwykł był odprawiać swe tajemnicze misteria.

Tutaj usiadł przy oknie, machinalnie zapuścił rolety i zerwał kopertę. Jeden rzut oka na treść listu i twarz Borowicza zapaliła się niesamowitym gniewem. List pochodził od Lili i zawierał bardzo nie wiele słów.

„Panie! — pisała Lila. — Wobec agresywności pańskiego postąpienia dzisiaj — zrywam zaręczyny i oznajmiam Panu, że za mąż nigdy za niego nie wyjdę. Wszystkie parafie w Łodzi urzędowo zawiadomiłam, iż za mąż dobrowolnie za Pana nie wyjdę, wobec czego może się Pan tam nie fatygować. Spodziewam się, że nie zechce Pan narażać mnie na przykrość odmówienia Panu przyjęcia w naszym domu i więcej się tutaj nie zjawi. Żegnam. Alicja Krupińska”.

Borowicz zmiażdżył gwałtownie papier w silnej dłoni i rzucił go na podłogę. Czas jakiś siedział nieruchomo, opanowując wzburzenie, po czym zasłonił zupełnie okno, wy dostał z ukrycia manekin i fotografię Lili i rozpoczął swoje misteria. Przede wszystkim tedy zapadł w trans i w transie tym, szepcząc jakieś zaklęcia, jakieś słowa zdjął kańczog ze ściany i ciął straszliwie raz i drugi manekin. I wydawało mu się, że słyszy krzyk katowanego człowieka, a krzyk ten podniecił go jeszcze bardziej, więc już zaczął ciąć manekin kańczogiem gdzie padło, a ów tajemniczy krzyk huczał w jego ciemnym pokoju skargą i żalem i bólem ogromnym i jęczał łzawymi tonami, co zdolne były kamienie poruczyć. Nie poruszyły one jednak Borowicza.

Na straszliwy krzyk Lili, pani Krupińska wpadła do jej pokoju i zobaczyła rzecz niesamowitą, niepojętą, niezrozumiałą... Oto biedne dziewczątka wilo się w jakichś tajemniczych bólach, w jakimś przeokropnym lęku, rzucało się z kąta w kąt pokoju, szamało, nie znajdując nigdzie ucieczki, nigdzie schronienia.

- Lilu! Lilu! Na Boga, co się z tobą dzieje?
- Och, boli, boli — zajęczała Lila, drżąc jak liść na wietrze.
- Co tobie, dziecko? Co to wszystko znaczy?
- On, znowu on...
- On? co za on?
- Och, jaki ból, jaki straszny ból, mamoo... Patrz!

Lila odsłoniła nieco piersi i matka zobaczyła z przerażeniem sino-krwawe pręgi, takie same, jakie widziała na ciele Lili dawno już temu, pokrywające piersi i szyję córki. Drżącymi rękami rozebrała ją i przerażenie chwyciło ją za włosy. Oto zobaczyła dalej, że prawie całe plecy biednej Lili pokryte były sińcami, jakby je co tylko ktoś był potwornie skatował.

— Okropność! Okropność... — wyszeptała, nie mogąc nic zrozumieć i nie wiedząc, co pierw robić: czy wołać kogo na pomoc, czy samej pomocą się zająć. A gdy następnie spojrzała na twarz Lili, zobaczyła, że jest ona przeraźliwie blada, tak blada, jakby w niej jednej kropli krwi nie było.

— Lilu! Lilu! — zaczęła potrząsać nią matka — ale Lila nie dawała znaku życia. Wtedy pani Ewa podniosła wielki krzyk, wzywając pomocy, choć sama nie wiedziała, kogo przyzywać na pomoc. Ale wnet zjawiła się Marysia, przybiegła pokojowa, które ułożyły zaraz panienkę na łóżku i wezwały doktora Mazurkiewicza.

Stary eskulap, powiadomiony w chaotycznych słowach o zajściu, zebrał się natychmiast do drogi, a jadąc do Krupińskich, wskoczył po drodze do Krajewskiego i zabrał go ze sobą.

— Coś tajemniczego stało się tam znowu — poinformował go już w doróżce. — Teraz będzie miał pan możność osobiście sprawdzić i zobaczyć wszystko na miejscu.

Kiedy przybyli do Krupińskich, pani Ewa niemal tak samo przytomności pozbawiona, jak nieruchoma i omdlała Lila, nie umiała porządnie nic opowiedzieć. Słyszała przeraźliwe krzyki Lili, więc natychmiast przybiegła do niej i zobaczyła ją rzucającą się z kąta w kąt i zasłaniającą się rękami przed niewidzialnymi ciosami, które jednak spadały na nią i sprawiały dotykany ból fizyczny. Z trudem się uspokoiła dopiero wtedy, gdy przyszło omdlenie.

— Ślady bestialstwa jakiegoś niewidzialnego zbrodniarza możecie panowie na własne oczy zobaczyć — zakończyła z łkaniem pani Ewa.

Doktor zabrał się natychmiast do cucenia omdlałej Lili, w końcu udało mu się to po dość długich zabiegach. Lecz obecny stan Lili tylko bardzo nieznacznie różnił się od poprzedniego, bowiem pojawiła się u niej gorączka, która zdawała się do czerwoności roz-

palać włókna jej ciała. W tym stanie o wybadanie ofiary bestialstwa, czego pragnął Krajewski, nie można się było nawet kusić.

A Borowicz, skończywszy swoje tajemnicze praktyki, ukrył wszystko do schowków i wyciągnawszy z kieszeni fotografie maszyny i jego pomocnika, wpatrzył się w te ostre rysy ludzi pracy, nie przeczuwających zapewne w tej chwili, że ktoś nieznany im zgoła, a tajemniczy i groźny, przygotowuje na nich zamach.

Długo wpatrywał się w twarze tych dwóch ludzi i wydało mu się, jak gdyby obaj oni stanęli w tej chwili przed nim w swoich realnych, cielesnych postaciach i zdawali się czekać na coś, co miało spaść na nich.

Ale mister John przyjrzał się tylko twarzom tych ludzi, wywołał ich wizje i napowrót ukrył fotografie w schowku, a sam ubrał się i zamierzał wyjść. Po drodze, gdy Dario otwierał mu drzwi, rzekł:

- Przygotuj wszystko do drogi, za dwa dni odjeżdżamy.
- I młoda lady jedzie z nami, Sir?

— Nie twoja rzecz. Przygotuj wszystko do drogi i zlikwiduj wszelkie sprawy.

— Słucham, Sir.

Mister John wyszedł i wskoczywszy do przejeżdżającej właśnie wolnej taksówki, kazał się wieźć do swojego trzeciego mieszkania, aby ostatecznie rozprawić się z Barlampem. I nie spostrzegł wcale, że tuż za nim biegną ostrym klusem dwaj ludzie, którzy zdawali się go śledzić. Jednakże nogi ludzkie nie mogły dorównać pojazdowi mechanicznemu, więc prędko biegnący pozostali w tyle, a auto zniknęło gdzieś na pierwszym zakręcie ulicznym.

— Psiakrew! — zaklął Luluś. — Też miałeś pomysł, idioto ciężkiego kalibru, aby piechotą gonić samochód.

— Czekaj, nie denerwuj się, Morycku kochany. Ten szofer tędy przecież będzie wracał, więc od niego dowiemy się, gdzie woził szlachetnego dżentelmena.

— A jeśli po drodze trafi mu się gość i powiezie go w drugi koniec miasta?

— Pamiętam numer wozu, wiemy, gdzie ma miejsce postoju, żółtodzióbku, a w tym wypadku cóż łatwiejszego, jak tego pana odnaleźć? Łódź nie jest tak wielka, jakby się pozornie wydawać mogło.

— Ale zawsze było lepiej wskoczyć do drugiego wozu i deptać po piętach dostojnemu doktorowi.

— Może i lepiej, ale gdy się raz głupstwo zrobiło, trzeba starać się je naprawić — odrzekł Bulwa i ruszył żwawiej w stronę, gdzie na pierwszym zakręcie znikło im auto.

A tymczasem auto wiozące Borowicza wy dostało się wnet poza miasto i pomknęło w stronę Widzewa, gdzie w lasku znajdowało się trzecie z kolei mieszkanie mister Johna, znane tylko jemu i Dario, w którym ukryty był Barlamp. Na ogół Oleś nie mógł sobie krzywdować, gdyż powodziło mu się świetnie. Mieszkanie miało wygodne, wyspanie także, a co do jedzenia, to wydziwić się nie mógł, skąd Borowicz wytrzasnął w Łodzi tak znakomitego kucharza. Jedna rzecz tylko była przykra, a to więzy, w jakie zaopatrzył go Borowicz, jakieś wymyślne pętłe, nad którymi Barlamp całymi dniami się głowił, ale w żaden sposób rozwikłać ich nie mógł. I nadto — knebel, który mu zakładano na usta, gdy zostawał sam w swoim schowku oraz świadomość, że jest on tam teraz na swobodzie potrzebny jak nigdy dotąd, a jednak musi siedzieć w bezczynności i nawet palców gryźć nie może z bezsilnej wściekłości.

— Widocznie... „minęły piękne dni Aranjuezu” dla mnie — rzekł sobie w pewnej chwili i położywszy się na miękkim łóżku, patrzył w sufit i rozmyślał.

Był tak zadumany, że nie słyszał, że gdzieś opodal przystało auto, że zachrobotał gdzieś klucz w zamku i rozległy się czyjeś kroki. Dopiero gdy drzwi do jego schowku trzasnęły, podniósł głowę i zobaczył Borowicza.

— Moje uszanowanie doktorowi — odezwał się złośliwie Barlamp — jakże tam zdrówko szanownego konsyliarza?

Mister John zbył milczeniem to zapytanie i rzuciwszy z ramion okrycie, zapalił papierosa i zaczął nerwowo przemierzać pokój.

— Cóż to, zdenerwowani jesteśmy, doktoru szanowny? — rzekł znowu Oleś. — Niepowodzenia na drodze do zagarnięcia miliona w złocie po Krupińskim?

— Milcz!

— Już od wielu dni nie mam z kim nawet słowa zamienić i z konieczności muszę milczeć, boć nieustannie sam z sobą rozmawiać

nie będę. Ale skoro pan sobie życzy, bym milczał — spełniam wolę dostojnego eskulapa.

— Barłamp! — zawołał naraz Borowicz.

— Panie Barłamp, szanowny konsyliarzu, panie Barłamp... — odrzekł z wolna Oleś. — Nie przypominam sobie, abysmy kiedykolwiek pili „bruderszaft”, więc takie tykanie mojej godnej osoby nie jest na miejscu.

— Słuchaj pan, panie Barłamp...

— Nadstawiam uszu i słucham cierpliwie.

— Powiedziałem ci kiedyś, że zginiesz w dniu, w którym osiągnę pełne zwycięstwo.

— Pamiętam, że o czymś takim opowiadał mi pan.

— I właśnie dzień taki nadszedł dzisiaj.

— Bardzo mi przykro, ale skoro to już nieuniknione?

— I nie ochroni cię przed zgubą nic, żadne pańskie antidotum, żaden przyjaciel. Znowu mam władzę nad panem, znowu jestem mocnym człowiekiem, przed którym wszystko ugiąć się musi.

Barłamp zadrżał, bo groźba ta wydała mu się bardzo realną i kto wie, czy nie prawdziwą. Nie pokazał po sobie żadnego lęku, ale przyglądając się Borowiczowi, spod nasuniętych na oczy brwi, myślał szybko nad tym, do czego ten niebezpieczny człowiek zmierza.

— Po co mi pan to wszystko opowiada? — spytał z głupia frant Barłamp. — Czy aby mnie zastraszyć? Wiesz pan dobrze, że ja się pana wcale nie boję i jeżeli będzie trzeba umrzeć, nie zobaczysz u mnie najmniejszego strachu przed śmiercią.

— I nie po to wtajemniczam się, młodzieńcze, w te sprawy.

— A tylko?

— A tylko, aby przez uświadomienie sprawić ci bolesniejszą mękę konania — pojmujesz?

— Nie wiedziałem, że jesteś pan nie tylko oprawcą, ale także i niską kreaturą, lubującą się w sprawianiu drugiemu cierpień. Tylko w tym wypadku zachodzi jedno maleńkie nieporozumienie — bo ja bynajmniej nie przejmuję się tym wszystkim, czegoś tam pan dokonał.

— Tak, jestem znowu mocny, jestem znowu sobą — powtórzył w zamyśleniu Borowicz. — Nic znowu nie staje na przeszkodzie do moich wielkich celów, do władzy, do rozkazywania. Wszystko ugnie się przede mną, wszystko musi mi służyć.

— Nawet kat — mruknął Barłamp.

— Cóż wy znaczący wszyscy? Co znaczy wszelka wasza moc i władza? Proch, marny proch wobec utajonych sił, jakie drzemią we mnie. Żałuj pan, że nie dożyjesz dzisiejszej nocy, żałuj, bo mógłbyś oglądać moją potęgę, która żywiłom nawet jest w stanie rozkazywać.

— A toż słucham i słucham o tej pańskiej przechwalanej sile, jednak jakoś nie mogę jej zobaczyć — zauważył już nieco zdenerwowany Oleś. — Jeżeli istotnie jesteś pan tak mocnym, tak potężnym, doświadczyć tej siły choćby tylko na mnie. Jesteśmy obaj tylko, prawda? Pan masz moc rozkazywania moim myślom i mojej woli. Wypróbuj że ją!

Borowicz zatrzymał się nagle przed Barłampem i przeszył go swoimi oczami - pochodniami. Oleś spojrział mu mocno w oczy i dojrzał w nich tajemnicze i groźne błyski jak w źrenicach tygrysa, który zamierza za chwilę rzucić się na ofiarę.

— Wyzywasz mnie?

— A gdyby? — rzucił już jawne wyzwanie Oleś, próbując powstać.

— Dobrze. Aby ci moc moją pokazać, dam ci tego zaraz próbę.

I po tych słowach postąpił krok ku Barłampowi, pomani-pulował coś tam przy jego więzach na rękach i nogach, zdjął mu zupełnie już przedtem odsunięty z twarzy knebel i wszystko to rzucił w kąt.

— Daję ci próbę mojej mocy — powtórzył z naciskiem Borowicz.

— Bardzo rad będę wypróbować ją na sobie — odrzekł spokojnie Oleś, rozcierając zgrabiale i zeszywniale kończyny. — Nie lubię ja wprawdzie być królikiem doświadczalnym, ale ponieważ w danym razie chodzi przecież o rzecz niezwykłą, więc — służę waszej dostojności.

Borowicz stał naprzeciw Barłampa z rękami w tył założonymi, a oczy jego błyszczały złowrogo żółtawymi błyskami, jak oczy tygrysa w dżungli. Wpatrywał się w oczy Barłampa z jakąś namiętną, druzgocącą siłą i był pewien, że już w następnej chwili człowiek ten, ta jego ofiara, podda się jego woli i spełni wszystko, cokolwiek od niego zażąda. Ale Barłamp, który początkowo naprawdę się lękał o bezwładnienia, wpatrując się teraz w rozpalone zwierzęcymi, magnetycznymi błyskami źrenice Borowicza — zrozumiał prawie błyskawicznie, że oczy mister Johna nie działają bynajmniej na niego ujarzmiająco. I prawie równocześnie myśli jego, szybka jak błyskawica, pojęła w jednej chwili nadchodzącą okazję ratunku, więc gorączkowo zaczął szukać w mózgu pomysłu, któryby mu ułatwił wydostanie się spod władzy tej zbrodniczej jednostki, która tak wspaniałą moc woli obracała na tak podły użytek.

A oczy Borowicza płonęły wciąż, zmieniając swe błyski i ogarniając całą postać przeciwnika. Wtedy to Barłamp doznał wrażenia, że jest małym ptaszkiem hipnotyzowanym przez węża, który usiłuje obezwładnić go i pożreć. I, jak to zazwyczaj w takich wypadkach bywa, ratunek przychodzi zupełnie niespodziewanie, nie-

zależnie, jak się zdaje, od naszej woli i naszego rozumu. Tak też było i tym razem. Nagle Olesia olśniła myśl udania, że poddaje się woli Borowicza, że jest przez niego całkowicie opanowany, podbi-ty, shodowany, że jest narzędziem w jego rękach, narzędziem posłusznym i bezwolnym. Przypomniały mu się wypadki, widziane na seansach spirytystycznych, gdzie media zapadały w trans. Opuścił więc bezwolnie ręce wzdłuż ciała, wyprężył się, jakby sztywniał i kostniał, oczy przymknął, ale tylko na tyle, aby widzieć jednak mimo wszystko czynności Borowicza, skupił się cały w sobie i — czekał... czekał na rozkaz, który za chwilę miał paść z ust mister Johna.

Jakoż nie potrzebował czekać na to długo. Mister John, ten doskonały znawca ludzi i swojego kunsztu, tym razem jednak pomylił się. Udanie wziął za rzeczywistość, sztukę za prawdę i sam będąc jakby w transie, rzucił Barłampowi rozkaz:

— Wykonasz to, co ja ci rozkażę, rozumiesz?

— Tak... — odrzekł Barłamp głosem osłabionym i posłusznym.

— O dwieście metrów stąd przebiega tor kolejowy — widzisz go? — syczał zgłuszony głos Borowicza.

— Widzę... — odrzekł słabo Barłamp.

— Pójdiesz tam — pójdiesz. Widzisz się w tej chwili idącym ku nasypowi kolejowemu — jest ciemno... Dokoła nie ma nikogo... Za dziesięć minut będzie tędy przebiegał pociąg do Kutna. Połóżysz się na torze... Rozumiesz?

— Tak — przytwierdził znowu Barłamp.

— Popelnisz samobójstwo.

— Tak, popelnię samobójstwo — powtórzył znowu Barłamp jak echo, a jednocześnie z przerażeniem poczuł, że wola jego słabnie, że naprawdę zaczyna wpadać w trans, poddawać się woli Borowicza, który opanował go zupełnie i teraz kierował już nim bez żadnego oporu.

Co było dalej, Barłamp nie był już tego świadom. Puściwszy się na niepewne wody próbnego eksperymentu, zagrawszy komedię poddawania się woli hipnotyzera, Oleś zapomniał jednak o jednej bardzo ważnej rzeczy, a mianowicie, że osłabiając w swoim mózgu opór przeciwko nakazom mister Johna, tym samym poddawał się jego woli i jego utajonej sile, która istotnie była olbrzymia.

— Tak... śpisz — teraz śpisz — syczał imperatywny głos Borowicza. — Ale mimo to pojmujesz wszystko, co masz spełnić. Pojmujesz?

— Tak, pojmuję... — wyszeptał Barłamp w transie.

— Idź ku drzwom! — rozkazał znowu Borowicz, kierując wolą swoją krokami Barłampa. I Oleś wykonał rozkaz, zmierzając ku drzwom, jak lunatyk. Był sztywny, wyprostowany, a jednocześnie blady i oddychał szybko, urywanie. Chwilami czerwone wypieki zjawiały się na jego policzkach, ale znowu ustępowały miejsca woskowej wprost bladeści.

Borowicz poszedł za Barłampem i nieustannie szeptał zeiszone rozkazy, kierując jego krokami. A Oleś, wydostawszy się na werandę, zaczął zstępować wolno po schodach ku ścieżce, która prowadziła do toru kolejowego. Dokoła była już ciepła, lecz ciemna noc letnią. W dali błyszczały miliony świateł elektrycznych Łodzi, a na tle blasków łun świetlnych, rysowały się w niektórych miejscach olbrzymie gmachy i potworne ramiona kominów fabrycznych, których czuby, niekiedy spowite w pióropusze dymów, niknęły gdzieś w otchłaniach czarnego nocnego nieba.

Barłamp szedł wolno, krok za krokiem, niby człowiek uspio-ny lub lunatyk. Chwilami, na nierównościach, macał teren nogą, przekraczał następnie niewielkie wyboje i nierówności gruntu, cmijał krzaki, którymi porosły był dość gęsto teren aż do samego toru kolejowego i szedł, wciąż szedł naprzód ku swojemu przeznaczeniu.

Borowicz stał na werandzie i wrokiem swoim zdawał się ciemność przenikać, wciąż szeptał nakazy człowiekowi, idącemu daleko przed nim, w końcu zaś, wyciągnawszy w przód ramiona, zawołał rozkazująco:

— Stój! Stój i czekaj!

Człowiek na torze kolejowym zatrzymał się i dreszcz febryczny przebiegł jego ciało.

— Połóż się! — rzucił znowu w przestrzeń rozkaz Borowicz i sam wykonał ruch, jak gdyby i on zamierzał położyć się na werandzie.

Mister John nie mógł już teraz widzieć postaci Barłampa, bowiem przestrzeń zbyt była odległa i noc nazbyt ciemna. Ale wyczuwał go, bo to jego wola zaprowadziła go na to miejsce.

Skoncentrowawszy całą swoją wolę na człowieku leżącym na torze kolejowym, Borowicz czekał nadejścia pociągu, który już się tam gdzieś w dali był rozhuczał i rozdzwieczał, pędząc w cichą i ciepłą noc letnią z poprzedzającym go na znacznej przestrzeni echem.

XVII.

Wszelki duch...

Pan Melchior Kulka siedział w komisariacie i próbował na razie teoretycznie, rozwikłać sprawę zaginięcia antidotum inżyniera Soreckiego, a zarazem wykombinować, kto mógł sfalszować protokół posterunkowego Kulpecia o wypadkach w karnawałową noc przy ulicy Tadeusza Kościuszki. Była to już głęboka noc, ale życie wieczorne pracowitej Łodzi nie ustawało jeszcze bynajmniej, bo jego odgłosy w różnorodnych dźwiękach dochodziły do jego uszu. rzysz wielu wypraw na korsarzy nocnych i dziennych, których tak rzysz wielu wypraw na korsarzy nocnych i dziennych którzy tak

wielu posiada każde wielkie skupisko ludzkie, wierny druh, znakomity bibosz i przyjaciel i serce ścisnęło mu się dziwnym skurczem na wspomnienie, że zostawił go na pastwę Bóg wie jak przykrego losu i nie mu nie mógł pomóc. A przecież nie siedział z założonymi rękami, ale szukał wszędzie, myszkował, wachał sam i inni wywiadowcy, a jednak wszystko na próżno. Dwukrotnie zakradał się do mieszkania Borowicza przy Piotrkowskiej i w pałacu Rostafińskich, próbował zająrzeć w zakamarki mieszkania delegacji kalkuckiej, wziął do pomocy Bulwę i Lalusia, którzy znali wszelkie zakamarki nawet najtajniejsze wielkiej Łodzi, a jednak nic i nic.

— Co się z nim dzieje, biedakiem? — westchnął Kulka. — Czy chociaż jeszcze żyje? Czy wróci kiedykolwiek?

Jeszcze wczoraj doradzał Kulka Krajewskiemu, ażeby aresztować Borowicza i całą delegację kalkucką, ale komisarz odmówił. Istotnych podstaw materialnych do takiego aresztowania nie było, a skandal byłby zbyt wielki i mógł wywołać nader szkodliwe echa zagranicą. Toż ci ludzie byli przedstawicielami wielkich hurtowni indyjskich nabywających rokrocznie towarów włókienniczych za miliony złotych. Stracenie takiego odbiorcy w dobie najostrzejszej walki międzynarodowego handlu o rynki zagraniczne byłoby błędem nie do naprawienia i nie do darowania. Dlatego Krajewski, chociaż pragnął za wszelką cenę Barłampowi pomóc, nie mógł się jednak odważyć na posunięcie doradzane przez Kulkę.

— Nie, tak postąpić narazie nie wolno, mości Kulka — mówił Krajewski. — Szukaj pan dalej, otocz siecią pajęczą wywiadu Borowicza, a może w końcu dojdiesz do miejsca uwięzienia biednego Olesia.

I Kulka szukał, myszkował, śledził, ale Borowicz, śnać przeczuwając, albo wiedząc o tym, zawsze wymykał się z sieci i umiał tak kluczyć, że nie sposób było trafić za nim do schowka. Badał też Kulka skrupulatnie i świeżymi dzierzawców i zesłańców wielkiej Łodzi, ale oprócz dwóch wypadków, znanych zresztą Kulce z wynajmem mieszkania przez Borowicza, żadnych innych nie spotkał.

Wszystko to doprowadzało biednego pana Melchiora niemal do rozstroju nerwowego, odbierało mu spokój i o dawnej beztroskości teraz wogóle mowy być nie mogło.

— Albo mózg mój i spryt zjełczały już zupełnie na stare masło, albo się w kpa obracam — wymyślał Kulka sam sobie tego wieczoru. — Inaczej i być nie może.

I chcąc czymkolwiek zająć się, aby o tych sprawach tak dla niego przykrych nie myśleć, rozłożył książkę i próbował czytać. Zaledwie jednak przebiegł oczyma jedną stronę, gdy gdzieś opodał stuknęły drzwi, ktoś potrącił krzesło, które przewróciło się i potoczyło po podłodze, a następnie nastąpiła cisza.

— Kij diabeł tam znowu lazi po biurze! — mruknął gniewnie Kulka i wzięwszy rewolwer w rękę, lampę w drugą, poszedł cicho przez otwarte drzwi ku pokojowi, z którego dobiegły go te niezwykle odgłosy.

Przy drzwiach przystanął i zaczął nasłuchiwać. Ktoś tam laził na palcach, nie chcąc śnać wywoływać hałasu, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Kulka zawiesił lampę na guziku marynarki, otworzył cichuteńko drzwi i stanął na progu. To, co zobaczył, zdumiało go ogromnie. Oto ujrzał dyżurnego przodownika Szafranieca pładrującego w szufladach biurka komisarza Krajewskiego. Kulka już miał krzyknąć na niego, ale raptem zobaczył, że przodownik jest jak gdyby we śnie, bo oczy ma prawie zamknięte, ręce jakby zmartwiały, chociaż bardzo szybko przebierały między papierami, a przez ciało policjanta przebiegają nieustannie dreszcze.

Kulka stał długo na miejscu, nie mogąc wyjść z podziwienia, ale nie wołał, nie straszył poszukiwacza, najmniejszym szelestem nie zdradzał swojej obecności, ciekaw, co z tego wszystkiego wyjdzie.

Tymczasem Szafraniec, znalazłszy jakiś akt, włożony do wielkiej koperty, wyjął go, przejrzał (Kulka nie był pewien, czy widzi on cokolwiek, gdyż oczy jego wciąż nakryte były powiekami), w końcu poukładał papiery na swoich miejscach i z kopertą w rękę zaczął podążać do pokoju dyżurnego, idąc jakby we śnie.

Kulka poszedł za nim, zarówno zdziwiony ogromnie, jak i zaciekawiony, co to wszystko znaczy i jak się zakończy. A przodownik, znalazłszy się w pokoju dyżurnym, usiadł przy biurku i wyjąwszy papiery z koperty, zaczął je przeglądać i liczyć, wciąż czy mając zamknięte, a ciałem jego wstrząsały dziwne dreszcze.

Po chwili zadzwieczał dzwonek telefonu. Szafraniec zdjął słuchawkę i przystawił ją do ucha, a z jego gardła wyszedł jakiś szept, którego nawet Kulka, stojący prawie tuż za jego plecami, nie mógł usłyszeć.

Słuchawka znowu zawisła na swoim miejscu, a Szafraniec włożył papiery do koperty, zakleił ją i włożył pod papiery leżące na biurku. Kulka wciąż jeszcze czekał, bo pragnął dowiedzieć się wszystkiego, zbadać wszystko gruntownie. Po upływie kilku dalszych minut zapukał ktoś do drzwi, a z ust Szafranieca znowu wyszedł taki sam, jak poprzednio, niedosłyszalny szept. Kulka błyskawicznie ukrył się za szafką czekał dalej. Do pokoju wszedł jakiś człowiek w dużym futrzanym palcie, co ogromnie zdumiało Kulkę, gdyż noc była parna i duszna, z kołnierzem postawionym do góry tak, że widać mu było tylko koniec nosa. Nieznajomy nie wyrzekł ani słowa i ani słowem nie odezwał się też do niego przodownik Szafraniec, ale w milczeniu sięgnął pod papiery, wydołał stamtąd kopertę i podał ją nieznanemu. Lecz zanim ten zdolał dostać ją w ręce, Kulka przyskoczył do Szafranieca, wyrwał mu kopertę z rąk i mierzając z rewolweru, zawołał:

— Ręce do góry!

Szafraniec drgnął gwałtownie, jakby budził się z głębokiego snu i spojrzawszy ogromnie zdumiony na wywiadowcę. Nieznajomy człowiek w kożuchu zamrugał nerwowo powiekami, jakby również budził się ze snu i niemniej zdumionymi oczami popatrzył na Kulkę.

— Co? Co pan robi, panie Kulka? — wyrzekł Szafraniec, blednąc.

— Dowiesz się pan o tym później! — odrzekł surowo Kulka. — A tymczasem ręce do góry i nie ruszać się z miejsca, inaczej palnę panu w łeb, zanim zdolaś zrobić choćby jeden ruch.

Szafraniec posłusznie podniósł ręce do góry, a Kulka szybkim ruchem wyciągnął mu rewolwer z olstra i wrzucił go do kieszeni swojej marynarki. Po czym nacisnął dzwonek alarmowy do rezerwy policji. Po chwili wpadło paru palicjantów.

— Rozbroić do reszty przodownika Szafranieca! — rozkazał Kulka. — A tego tu człowieka odprowadzić do aresztu. Obu pilnować dobrze do czasu przybycia tutaj pana komisarza Krajewskiego. Panie Kulpec, pan obejmiesz dyżur w komisariacie.

— Rozkaz, panie przodowniku.

Kulka połączył się natychmiast z komisarzem Krajewskim, prosząc go, aby natychmiast przybył do komisariatu, gdyż zaszły bardzo ważne wypadki, które wymagają bezzwłocznej jego obecności.

W pół godziny później zjawił się Krajewski ogromnie zaintrygowany nagłym wezwaniem.

— Co tu się stało? — spytał Kulki, który czekał na niego, przechadzając się po pokoju dyżurnym i paląc jednego papierosa za drugim.

— Zaszły takie sprawy — odrzekł Kulka — które wymagają koniecznie obecności pana komisarza. A oto, co się stało...

Kulka opowiedział całe zajście z wszelkimi szczegółami i na zakończenie wręczył Krajewskiemu pakiet z papierami, które usiłował wydać przodownik Szafraniec. Komisarz przerzucił szybko papiery, następnie ukrył je z powrotem w kopercie i rzekł:

— Nawet pan sobie nie wystawia, jaką kapitalną usługę oddał pan całej sprawie, panie Kulka,

— Jakiej sprawie, panie komisarzu?

— Sprawie, którą zaczęliśmy prowadzić w związku z owymi niesamowitościami, dziejącymi się do dłuższego czasu dokoła panny Krupińskiej.

— Więc te papiery tej sprawy dotyczą?

Jest to sprawozdanie naszego posła w Kalkucie, któremu Ministerstwo Spraw Zagranicznych, na mój wniosek, poleciło zbadać sprawę Borowicza.

— Powiadam panu, panie Kulka, sprawozdanie to, to jeden wielki romans awanturyczny. Kiedyś dam panu do przeczytania. No, ale tymczasem zajmijmy się sprawą pana Szafranieca i tego drugiego osobnika. Trzeba działać szybko i sprawnie, bo nim dzień zaświta, musimy wiedzieć, do czego to wszystko zmierzało, kto kierował krokami Szafranieca i jak się to stało, że tak wzorowy pracownik, jakim zawsze był ten człowiek, dał się jednak załamać i podejść.

— Czy ja będę panu komisarzowi potrzebny?

— Na razie nie. Możesz pan odejść do domu, ale o godzinie siódmej rano proszę tu już być.

— Zatem pójdę wypocząć, bo całą wczorajszą noc nie spałem.

— No, a czemuż to? Bumberka?

— Tak, ale po mieszkaniu szlachetnego Sir Johna W. Borowicza.

— No i — nic?

Kulka rozłożył bezradnie ręce.

— Głupstwo. Dziś w nocy przyjeżdża porucznik Stadnicki z inżynierem Sońckim. Nim doba minie — przy ich pomocy powinniśmy rozwiązać całą zagadkę. Większość spraw mamy rozwiązanych, pozostaje tylko do wykrycia sprawcy kradzieży planów inżyniera Kosibowicza i — aresztowanie Sir Johna.

— A Barłamp? Panie komisarzu, to moja największa bolączka i... największy pech, jaki mnie spotkał ostatnio.

— Wierz pan, że i to zakończy się szczęśliwie.

— Oby tylko Barłamp żył.

— Miejmy nadzieję...

— No, to już odejdę. Dobranoc panu komisarzowi.

— Dobranoc... A pamiętaj pan o siódmej.

— Będę niezawodnie.

Kulka wyszedł. Na przystanku wsiadł do tramwaju i pojechał ku domowi. Tutaj siedział po kolacji czas dłuższy, rozmyślając w dalszym ciągu nad nieszczęsnym losem Olesia, gdy naraz do uszu jego dobiegły jakieś hałasy i krzyki przy bramie. Ktoś z kimś dochodził się i sprzeczał, a Kulce wydało się naraz, że w tych liczących, skłóconych głosach poznaje głos jeden, głos Olesia.

— Czy to nie złudzenie? — poderwał się z miejsca Kulka. I pomacawszy rewolwer w kieszeni, pędem zbiegł po schodach na podwórze, które przebiegł w paru susach i znalazł się przy bramie.

— Co się tu dzieje? — spytał dozorca, stojącego w napół uchylonej furtce i rozmawiającego z kimś po drugiej stronie.

— Jakies oberwańce powołują się na pana i żądają wpuszczenia ich do budynku. A tu noc i czort zna, co za patałachy chcą dostać się tutaj, może chcą kogo okraść, — objaśnił pan dozorca.

— Panie tego — odezwał się głos po drugiej stronie bramy. — Jeno zamknął swoją jadaczkę i pomyjami porządnych ludzi nie oblewaj.

— Bulwa! — zawołał naraz Kulka.

— Panie przodowniku, weź mnie pan w opiekę — odrzekł na to Bulwa, poznając Kulkę. — Ten osobnik rodzaju stróżowskiego trzyma mnie tu od blisko godziny, jadaczkę sobie wyciera moją godną personą, a gdy go jak człowieka proszę, aby mnie do pana dopuścił — miele pyskiem i ani rusz do rozumu przemówić mu nie można.

— Puść pan tych ludzi — rozkazał Kulka. — Ja biorę za nich odpowiedzialność.

— Ha, to co inszego — zgodził się dozorca. — Skoro władza bierze odpowiedzialność za tych...

— Ostrożnie, ostrożnie na zakrętach, bo język może się zwichnąć.

Kulka pociągnął Bulwę do bramy, za nim wszedł Lalus.

— A gdzie pan Barłamp? — spytał Kulka, oglądając się w koło. — Zdawało mi się, że słyszałem jego głos przy bramie.

— To Lalus naśladował pana Barłampa, chcąc przekonać tego lucypera — łypnął Bulwa — że jest panem Barłampem we własnej osobie, ale to nie wiele nam pomogło. I gdyby nie pan.

— Bulwa, gdzie pan Barłamp? — powtórzył Kulka, przerywając gadatliwemu Bulwie.

Ten spuścił głowę na pierś i milczał chwilę. Tymczasem Lalus, zapaliwszy uprzednio papierosa, pośpieszył koledze z pomocą.

— Stało się coś bardzo niewyraźnego, panie przodowniku, — objaśnił.

— Chodźcie do mnie, tam porozmawiamy.

Gdy znaleźli się w pokoju pana Melchiora, ten wyciągnął z kredensu butelczynę, postawił dwa kieliszki, nalał i rzekł:

— No, szur i gadajcie wszystko dokładnie.

Włamywacze wypili i Bulwa zaczął opowiadać.

— Pilnowaliśmy Borowicza cały prawie dzień. I kiedy zobaczyliśmy go wychodzącego z domu i wsiadającego do auta, które skierowało się w stronę Widzewa, pobiegliśmy za nim...

— Głupi! Trzeba było wziąć drugą taksówkę i trzymać go się — wtrącił Kulka.

— Ja też tak radziłem, panie przodowniku.

— Kiedy radziłeś? Po zniknięciu nam auta z oczu?

— Sza! — przerwał sprzeczkę Kulka, nalewając na nowo kieliszki. — Gadajcie do rzeczy, później będziecie się kłócili.

— Jak już rzekłem — zaczął znowu Bulwa — pobiegliśmy za taksówką Borowicza, ale ta bardzo prędko zniknęła nam z oczu.

— To było do przewidzenia — mruknął pan Melchior.

— Ale po naradzie, ponieważ zapamiętałem numer wozu i wiedziałem, gdzie on ma postój, bo szofera znałem z widzenia, poszliśmy poszukać tej taksówki. Jakoż przyjechała nad wieczorem i wtedy dowiedzieliśmy się, że jeździła gdzieś daleko za Łódź, aż pod Widzew. Tam Borowicz zatrzymał wóz, wysiadł i poszedł do lasku. Tego mi było na razie dość. Byłem pewny, że skoro Borowicz tam poszedł, to nie bez kozery. Tedy powiadam do Lalusia: chodajmy, bracie, w tamtą stronę. Wydostaliśmy się na tor kolejowy i tak doszliśmy aż daleko za Łódź w stronę Widzewa. Było już dobrze ciemno, gdy naraz potknęliśmy się o jakiegoś człowieka. Lalus pochylał się nad leżącym, a ja mimo woli błysnąłem latarką i... co pan przodownik powie — na torze leżał pan Barłamp.

— Co ty mówisz? Nieżywy?

— Eh, nie — żywy, ale taki osłabiony, że o bożym świecie nie wiedział.

— I cóżście z nim zrobili? Gdzieście go podziali?

— Zostawiliśmy go na miejscu — poinformował spokojnie Lalus.

— Czyście oszaleli! Przecież go pociąg może przejechać!

— No, nie całkiem na torze, niech się pan przodownik nie ciepnie. Otóż, kiedy poznaliśmy, że to pan Barłamp wzięliśmy go obaj z Lalusiem i odciągnęliśmy na bok i to w sam czas, bo zaledwie zdążyliśmy dojść do krzaków, co przy samym torze rosną, gdy przeleciał przez to miejsce pociąg warszawski. Jeszcze parę minut, a z naszego pana Barłampa byłby misz-masz nie do poznania.

— No i cóż dalej, cóż dalej?

— A no, zostawiliśmy go tam w zaroślach, a sami w te pędy do pana przodownika z pytaniem, co robić.

— Idioto patentowany, nie mogłeś to poszukać dorożki, albo auto i przywieźć go tutaj! — irytował się Kulka.

— Nie mogliśmy tak zrobić, panie przodowniku.

— Czemuż to?

— Przecież pan przodownik wie, że my jesteśmy notowani. Gdyby nas tak złapał jaki policjant, zaraz byłby kram, rwetes, urwanie głowy i zanim zdążylibyśmy się wytłumaczyć, przywołał pana przodownika, albo pana komisarza Krajewskiego, trzeba by noc spędzić w areszcie, a tymczasem któż wie, co by się stało z panem Barłampem.

To objaśnienie uspokoiło nieco Kulkę, który porwał na siebie płaszcz, w ręce kapelusza i obu tak niezwykłych swoich współników postawił na równe nogi.

— Jedziemy po pana Barłampa! — zawołał energicznie.

W parę chwil później taksówka pędziła w stronę lasku widzewskiego, wioząc trzech mężczyzn. Kulka był bardzo podniecony, palił papierosa od papierosa i coraz więcej się denerwował, gdy nieustannie pytany Bulwa, odpowiadał za każdym razem: „jeszcze dalej, panie przodowniku, jeszcze dalej”.

W końcu dojechali na miejsce. Kulka zapalił silną lampkę elektryczną i oświetlając nią teren, szedł za Bulwą. Zaczęło się szukanie tu i tam, myszowanie po zaroślach, ale Barłamp znikł nagle.

— Cóż, u diabła, nie możecie znaleźć miejsca, na którym byłicie jeszcze przed godziną może? — irytował się Kulka.

— Ależ on tu właśnie powinien się znajdować — upierał się Bulwa, obchodząc wygniecioną trawę ze wszystkich stron. — O, widzi pan przodownik — tu właśnie leżał pan Barłamp, o — jeszcze widać wygniecioną trawę.

— Idź do diabła ze swymi objaśnieniami! — zachnął się Kulka. — Powinien, powinien, ale go nie ma, idioto!

— Szukajmy dalej, może się ocknął, może odszedł gdzieindziej — trzeba szukać.

— Tak, poszukajmy, panie przodowniku — poparł towarzysza Lalus. — Tu właśnie zostawiliśmy go.

Zaczęli szukać dalej, poczynając od miejsca na torze, gdzie na rozkaz Borowicza legł zahipnotyzowany Barłamp, aż do wygniecionej trawy w zaroślach, dokąd przenieśli go Bulwa i Lalus. Wciąż świecąc dokoła, Kulka poszedł śladami czyichś nóg, prowadzących od miejsca wygniecionej trawy, gdzieś dalej w lasek.

— O, wskazał naraz Bulwa — papierośnica.

Istotnie, była to papierośnica Olesia — tym razem całkowicie pusta.

— A więc tędy szedł — zdecydował Kulka i ruszył szybko za zygzakowatym śladem ludzkich nóg, tym razem odcisniętych na nagiej piaszczystej glebie.

Jak długo tak szli? Trudno było określić czas. Musiało jednak ułynać dość wiele czasu, bo szofer zaczął trąbić, wzywając do powrotu, a ten głos trąbki wydał się Kulce bardzo oddalonym. Znowu przebiegł daleko po torze pociąg, zdążający do Łodzi, napełniając lasek hukami i świstem syreny. A oni szli tak dalej, wołając już teraz od czasu do czasu w nadziei, że jeśli Barłamp znajduje się tu gdziekolwiek — powinien usłyszeć i dać odzew.

Już byli wyszli na przeciwległy brzeg lasku, gdy naraz Kulka podniósłszy nieco wyżej promień światła, zobaczył jakąś postać ludzką, opartą o pień drzewa, jakby zawieszoną na nim lub śpiącą.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — Bulwa, patrz!

— Człowiek wisi — wyszeptał Bulwa.

— Eh, nie, to tylko śpi oparty o drzewo — sprostował Lalus.

Podeszli bliżej i Kulka, wciąż kierując snop światła na postać ludzką, poznał w człowieku Barłampa. Stał on wsparty o pień sosny i szklistym, jakby martwym wzrokiem patrzył gdzieś w dal, na migocące na skraju horyzontu nocnego, pociemniałego nieba miliony świateł wielkiej Łodzi.

— Oleś! Oleś! — zawołał Kulka, podbiegając do przyjaciela. — Więc żyjesz, chłopcze? Więc nie pożarł cię ten dziki człowiek kalucki?

— Ach, to ty, Kulka? Skądże się tu wzięłeś, stary mastadoncie? — szepnął niewyraźnie Barłamp, próbując się uśmiechnąć.

— Szukam ciebie od paru godzin w tym lesie.

— Szukasz mnie?... — zdziwił się Barłamp. — A to czemu? co tobie? — zaniepokoił się naraz Kulka. — Tyś chory?

— Idioto kochany, czyż nie wiesz dlaczego cię szukam? Oleś,

— Tak i mnie coś się wydaje — jestem bardzo chory.

— Bulwa! Lalus! Weźcie pana Barłampa i chodaj, chłopaczki do auta.

Barłamp zawisł bezwładnie na rękach niosących go ludzi, tracąc przytomność.

XVIII.

Jęki wśród gruzów

— Jeszcze godzinka nie cała jazdy, panie Machalek, i jesteśmy w Łodzi, w naszej Łodzi — mówił maszynista pociągu 816 do swojego pomocnika, patrząc się przez boczne okienko lokomotywy na tor, po którym biegły dwie smugi świateł oczu lokomotywy.

— Ale na dzisiaj jeszcze nie koniec, — odrzekł pomocnik.

— Nic to nie znaczy. W Warszawie będziemy mieli parę godzin wolnych, potem wsiądziemy na naszą starą klacz i znowu znajdziemy się w Łodzi. Wtedy czeka nas zasłużony odpoczynek przez bite dwadzieścia cztery godziny.

W tej chwili Figurski subtelnym swoim słuchem dostrzegł jakąś niedokładność w pracy maszyny, bo zwrócił na nią uwagę pomocnikowi, nakazując mu naoliwić miejsce niedokładnie pracujące, a sam zaczął sprawdzać manometry i stopień ciśnienia pary.

— Jedziemy doskonale — mruknął następnie do siebie. — Nie mamy ani sekundy opóźnienia. Nadrobiliśmy te siedem minut, które opóźniliśmy od Katowic.

A pociąg mknął dalej, jak burza, oznajmiając się tu i ówdzie głośnym świstem syreny, lub hamując swój bieg na mostach i przyczółkach mostowych, gdy tak nakazywały znaki ostrzegawcze.

Figurski znowu spojrzął na zegar — do Łodzi mieli jeszcze czterdzieści minut. Powiedział o tym Machalkowi.

— Co pan tak dzisiaj liczysz minuty, panie Figurski? — zdziwił się pomocnik.

— A wiesz pan, sam nie wiem czemu, ale coś tak mi dzisiaj radośnie, że znowu na stacji zobaczę moją starą z jedzeniem. To doprawdy ciekawe, nigdy nie podobnego nie odczuwałem.

Pomocnik pokiwał tylko głową i otworzywszy czeluście pieca, zaczął zapychać smokowi ogniste gardło węglem. Figurski manipulował przy maszynie, czuwając, czy tłoki działają sprawnie. Był on już starym maszynistą, mającym za sobą wiele milionów przejechanych kilometrów, to też nie potrzebował wcale patrzeć, aby słuchem wyczuć, czy maszyna pracuje sprawnie. Ponadto miał on wysokie poczucie odpowiedzialności za całość prowadzonego pociągu, w którym znajdowały się setki ludzi, którzy losy swoje jemu dali w rękę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wszystko dla złota

(Obrazek z życia)

W roku 1890 ukazała się w piśmie amerykańskich wiadomość, że rząd rozdaje parcele gruntu w stanach zachodnich. Ogromne obszary żyznej ziemi leżały odlego wzdłuż kolei Union Pacific; ziemia czarna, lekko pagórkowata, porośnięta wysoką i bujną trawą, prosiła się ręką ludzką i pługa. Łożyiska rzek i strumyków znaczyły te dziewicze stepy wieńcami wierzbiny i wysmukłych topoli; gdzie zaś w szczyrym stepie wystrzeliło ku niebu swe ramiona jakie drzewo, tam napewno w cieniu jego tuliła się chata i gospodarstwo ubogie osadnika.

Powstały tą drogą rozdawnictwa rządowego liczne osady polskie w Nebraska, i w krótkim czasie zakwitło na stepach ciche życie, ale pracowite; powstały parafijki, pobudowano kościoły i szkoły, a gospodarze dorobili się dobrobytu nie szczędząc pomocy, gdzie było trzeba, i nie skąpiąc na chwałę Bożą.

W takiej to osadzie gospodarczej zamieszkało stadło małżeńskie Żuków. Dwoje tych ludzi zwróciło na siebie uwagę ogólną swą pracowitą zapobiegliwością. A prawdę mówiąc, byli oboje chciwi do tego stopnia, że odmawiali sobie nawet niezbędnych rzeczy. Ba, do kościoła nie chodzili, bo nie mogli się zdobyć na ofiarę choćby najmniejszą, na uczciwsze ogarnięcie się, na powozik jaki taki. A gospodarstwo mieli duże i wzorowe. Uciuli sobie parę tysięcy dolarów w banku złożonych, ale w domu trzymali kilka setek w szczyrym złocie. Bywało wieczorami w zimie, że zapali Żukowa lampę, Żuk obejdzie ze wszystkich stron, drzwi zarygluje, okna pozasuwa przed okiem ludzkim. Żukowa wtenczas siada przy stole, a mąż bierze lampę, schodzi do piwnicy i za chwilę wraca niosąc w drżącej ręce worek. Z deliberacją obrachowaną ustawia lampę na stole i zanurzwszy rękę w brzęczącej monecie, lubuje się dotykaniem złota. Narzeczony nabiera garść po garści błyszczących dziesiątek i wysypuje powoli na stół. Zabirają się oboje do liczenia, układają w równiutkie rzędy. Każda moneta najakuratniej położona! Lśnią się pieniądze, śnią się oczy chciwców.

— Słuchaj matka. Jutro chyba zawiozę do banku, będzie więcej procentu.

— Ile tam teraz jest? Musi być blisko trzy tysiące, bo ostatniego tego miesiąca włożyłeś te cztery sta, coś wziął za bydło.

Co też gadasz? Babi rozum, widzę, nie do rachowania. Z tymi, co tu je widzisz, będzie akurat trzy tysiące pięć set.

— Jak dociągniem do pięć tysięcy, to się zapiszemy do parafii. Trzeba też będzie jaki wózek kupić i trochę się ogarnąć. Stówka zaledwie wystarczy.

— Całe sto bitych? Bój się Boga, kobieto, toć nie będę kupował karety, a ty nie w jedwabiach będziesz chodziła. Księdzu na kościół dam całe dwa talary. To i za dwa miejsca w ławkach powinno wystarczyć.

— Wiesz stary, czasem aż mi tęskno do kościoła. Ale żeby znowu w każdą niedzielę trzęśli człowiekowi pod nosem, to też znowu tego za dużo. Dawaj a dawaj, a pięć centów przecież nie wykopiesz jak kartofli z ziemi.

— Gadaj zawsze do rzeczy. Wiesz, matka, tyle razy ci powiadam, że Panu Bogu nie trzeba naszych pieniędzy.

— Pewnie, pewnie, że nie potrzeba. To też nie zaraz będziemy się

zapisywali. Do piątego tysiączka jeszcze daleko.

Zgarnęli pieniądze po sztuce do worka i Żuk znowu z lampą w jednej, a z zawiniątkiem w drugiej, stawiając kroki z deliberacją, schodzi do piwnicy i chowa kochane złoto.

Ale nie poniósł do banku pieniędzy, bo przy śniadaniu odbyła się nazajutrz taka romowa:

— Myślę i myślę, czy te pięć set zawieść do banku czy nie — mówił gospodarz do żony. — Widzisz, bo te pieniądze to i dzieci nasze i kościół nasz, i krewni i znajomkowie... to cała nasza pociecha.

— Pewnie, że tak jest. To nie pojedziesz do miasta?

— Innaby się zaraz domyśliła; a tobie to trzeba po parę razy to samo kwilić, nim się dorozumiesz. Ta pewnie, że nie pojedę, bo chcę, żebyśmy też trochę radości zażyli z tych pieniędzy w domu. Jak się je wysypie na stół pod lampę, to jakby ci gwiazdy z nieba do garści spadały.

— Juści, że nie inaczej. To sobie znowu dzisiaj pod wieczór przerachujemy. A może choć połowę złożyć do banku. Zawsze to procent parę talarów przybędzie.

— Ej, matka, czasem to se pomysł, że to ja więcej lasy na te pieniądze; ale czasem to znowu se pomysł, że i ty. Pewnie, pewnie, że z procentu też byłaby pociecha, ale jeszcze dzisiaj nie zaniosę do banku ani połowy. Gdy w worku mało pieniędzy, a ręką zacznę w nim delikatnie ruszać, mała mi z tego uciecha. Ale jak całą ręką w złotych piątkach dziesiątkach się zanurzy — to jakby ci kto na gorączką rozpalone czoło, ręcznik w pachnącej świeżej wodzie umoczony przyłożył. Sama wiesz, to i nie będziesz przeczyła.

— Nie przeczę ja, boć wiem, że prawdę świętą mówisz, — powiedziała Żukowa i na tym skończyła się rozmowa, bo gospodarz wyszedł do rychłej pracy w polu, a pieniądze lube w domu pozostały.

Pewnego poranka wpada do Żuków sąsiadka, nawet trochę krewna i w wielkiej alteracji zaczęła od przega:

— Rany Boskie, Żukowa, ten bankier co to u niego mielim pieniądze uciekł z miasta. Mój co jeno wrócił i powiada, że na drzwiach wisi karta z napisem, że bank zamknięty.

Żukowa uczuła słabość w nogach, w oczach jej pociemniało; doszła chwiejnym krokiem do stołka i ciężko usiadła. Oparła się o stół i w milczeniu ręką wodziła po twarzy: chciała coś przemówić, ale tylko wargi jej się ruszały; mowę jej odjęto. Zakłopotana sąsiadka patrzyła na nią chwilę i wreszcie rzekła:

— Co ci to? Bładaś jak Piotrowin... Możeby zawołać męża?

— Już mi lepiej. Nie potrzeba, sama go zawołam. Ale o tym banku co ty mówiłaś? Nie gadaj byleczego. Przecież mój był niedawno zanieść parę dolarów i wszystko było w porządku.

— Toć słyszysz, co ludzkim językiem mówię, że mój był w mieście dzisiaj i widział na własne oczy kartę na drzwiach bankowych. Pytał się tego „sztornika” co przy samym banku mieszka, co na karcie stoi, a on mu odpowiedział, że bankier uciekł. Bank zamknięty, rozumiesz?

— To co będzie? Może jeno na dziś bank zamknęli. Ale pieniądze chyba pewne na banku?

— Juści, kiedy bankier uciekł, to nie zostawił pieniędzy. My się tam z moim nie mamy czego martwić, bo u nas zawsze jeno tyle, ile na wydatki potrzeba. Ale ostawaj z Bogiem, bo muszę lecieć do bratowej.

Żukowa siedziała długo, bo trzęsła się jak w chorobie i sił zebrać nie mogła. Uspokoiwszy się nieco, otarła fartuchem potem zroszone czoło i nagle, jakby jej jaka nieznaną moc w członki siły wiała, wypadła z chaty, przebiegła jak wicher łąkę za chatą, pędziła przez pole i poczęła krzyżeć ze wszystkich sił na męża, którego dojrzała koszącego siano na podmokłych nizinach rzecznych. Dosłyszał ją wreszcie i odwrócił głowę, a zobaczywszy żonę pędzącą co tchu, mruknął pod nosem: „Zwariowała baba, czy co? Pędzi, jakby ją złe poganiało”. Ale zaniepokojony zatrzymał konie, zlął z siodła na maszynie i począł iść ku biegnącej, zadyszanej kobiecie.

— Uciekł... bank zamknięty... powiadają, że pieniądze ukradł i uciekł!

— Kto uciekł? Opamiętaj się kobieto. Mów, kto uciekł?

Chłopisko nie ze wszystkim rozumiało co się stało. Ale ostatnie słowa żony „nasze pieniądze” dotknęły go do żywego i jak stał w roboczych lachmanach, zapomniawszy o koniach, o tym, że do miasta spore pięć mil, kopnął się co sił w nogach tą samą drogą, którą przed chwilą żona pędziła. Wypadł na drogę do miasta i biegł tak dobre pół mili. Sił mu zabrakło, zatrzymał się, rozejrzał się i dopiero zauważył, że do miasta trzeba jechać a nie pieszą drałować, bo do wieczoraby nie zaszedł. Usiadł pod drzewem przy drodze, bo mu się nagle uczyniło gorąco i słabo. W żaden sposób nie mógł zebrać myśli; nie chciał myśleć o prawdopodobnej stracie oszczędności takim kosztem zebranych. W każdym razie wypadło konieczne dowiedzieć się na pewno, jak się ma sprawa z bankiem. Podniósł się ociężale i już nie drogą, ale na przelaj przez szczyry step dążył do miejsca, w którym konie zostały.

Tymczasem żona jego, po jego o-

dejściu, stała chwilę oszołomiona ogromnym nieszczęściem, jakie na nią spadło. Nagle porwał ją gniew ślepy, straszny na siebie, na męża, na wszystko, na Boga. Zamażczyła przed jej zamglonymi oczyma maszyna i konie do niej zaprzężone. Chwyliła bat, sterczący obok maszyny i zaczęła bić konie i krzyżeć przeraźliwie. Zwierzęta przerażone i krzykiem i razami bata, zerwały się za nimi w tumanie kurzawy. Żukowa, zanosząc się to śmiechem czkawką przerywanym, to płaczem, popędziła do domu. Wpadła jednym pędem do piwnicy, wypadła znowu i porwawszy odruchowo chustkę zarzuconą na poręcz krzesła, wybiegła na drogę. Szła szybko, na pozór spokojna. Niebawem zaturkotał za nią wózek i nadjechała sąsiadka. Poznawszy ją, odezwała się, zatrzymując lichą szkapinę:

— Do miasta? Przysiadźcie się, to was podwiozę.

Żukowa ani słowa nie rzekła, tylko wzięła na wózek z jakąś obrachowaną determinacją, tak, że kobieta popatrzyła na nią trochę nieufnie. Parę razy próbowała rozmowę nawiązać, ale Żukowa siedziała jakby w głąz zamieniona, na słowa sąsiadki nie zwracając najmniejszej uwagi. Dojechały do miasta. Żukowa zeszła, ni słowem się nie odezwała.

Chućcina zesunęła się z głowy na ramiona, włosy w nieladzie rozwiane zgarniała gorączkowymi ruchami rąk, przekładając z jednej do drugiej jakiś worek. Poszła wprost przed szklane drzwi banku, popatrzyła na kartę zawieszoną wewnątrz i krzyżeć przeraźliwie, brała z worka garść po garści złotych pieniędzy i miotała z całej siły na drzwi i na okna. Brzęk tłuczonego szkła, miotanych pieniędzy, krzyki oszalałej kobiety zwabiły gromadę ludzi, którzy z przerażeniem patrzyli na Żukową. Ta zaś rzuciwszy ostatnią garść złota i worek, rękami tłukła pozostałe kawałki szkła w oknach. Obryzganą własną krwią i śmiejącą się dziką kobietę pochwycili nadbiegli ludzie i zanieśli do sklepu pobliskiego. Inni rzucili się zbierać pieniądze, uczynił się gwar: policjant coś krzychał z całej siły. Na tę scenę wpadł sam Żuk. Oczyma powiódł po gromadzie, po wytłuczonych oknach; podszedł do niego chłop znajomy i słów kilka z nim zamienił, po czym obaj udali się do sklepu, gdzie żonę jego opatrywał lekarz. Upłynęło czasu na kilka pacierzy i Żuk wytoczył się ze sklepu, niosąc w ramionach ciało martwej żony. Policjant podbiegł i włożył mu do kieszeni jakieś zawiniątko i szedł porówno parę kroków, mówiąc coś głośno do gospodarza, który nawet nie spojrzał na urzędnika. Doszedł do wózka swego w ulicy stojącego, ułożył na nim trupa i wsiadłszy pojechał. Godzina była po południowa, słońce miało się ku zachodowi.

Tej nocy luna zajaśniała od strony, gdzie stały zabudowania Żukowego gospodarstwa. Gdy sąsiedzi nadbiegli, nie mogło być już ani mowy o ratowaniu zabudowań, tak całkowicie ogarnęły płomienie dom, stodoły, chlewy, ba nawet stogi siano opodal stojące. Po Żukach samych i dobytku ich ani śladu nazajutrz nie pozostało. Powiadali ludzie, że Żuk z rozpacz podpałił zabudowania i dom, w którym razem z trupem żony się zamknął. Nie było wszelak sposobu sprawdzenia pogłosek, bo ogień doszczętnie pożarł wszystko, a ludzie ze strachu nie odważyli się przeszukiwać popiołów, chociaż chodziły pogłoski o pieniądzach, które Żukowie w domu schowali.



Dom zamożnego kolonisty polskiego w Ameryce.

(B.I.5093)

Nie taki diabeł straszny, jak go malują...

Wojna chemiczna groźna jest tylko dla nieprzygotowanych

Miliony osób żyją obecnie w stałym strachu przed nalotami nieprzyjaciela. Obawiają się nie tylko bomb burzących czy zapalających. Szczególnym lękiem napawa ludzi możliwość zastosowania gazów, których właściwa nazwa — bojowe środki chemiczne. Nie wszystkie tak zwane gazy są naprawdę gazami. Najstraszniejsze i najdokuczliwsze, najtrudniejsze do obrony są iperyt i luizyt. Nie są to bynajmniej gazy. Iperyt jest to ciecz żrąco-paląca o kolorze i zapachu musztardy. Luizyt ma te same cechy. Ciecz, jak wiadomo nie jest gazem. Bojowe środki chemiczne obejmują poza gazami trującymi, oddziałującymi na naszą krew, gazami duszącymi i żrąco - parzącymi również stosownie bakterij (cholera, tyfus, dżuma itd.)

Gazy bojowe w bardzo prymitywnej zresztą formie używane były już przed 1.000 lat, a może i wcześniej. W bitwie pod Lignicą, Tatarzy w umocowanych na długich żerdziach czaszach, wynosili na pole bitwy palące się zielska, a dym wydobywany z nich miał bardzo silne właściwości drażniące. Nie działał zabójczo, lecz spędzał nieprzyjaciela z pola walki. Ma się rozumieć stosowanie gazu w tych warunkach, jak zresztą i podczas ostatniej wojny światowej z butli ustawionych wzdłuż frontu mogło mieć miejsce jedynie przy sprzyjającym wietrze.

Propaganda zmierzająca do przygotowania ludności cywilnej do obrony przed gazami, prowadzona w ostatnich latach, zrobiła dużo dobrego, jednakże może nadmiernie wystraszyła ogół, a szczególnie kobiety i osoby starsze.

Gazy rzeczywiście, jako broń mają pewną przewagę. Są znacznie tańsze i działalność ich nie ogranicza się do kierunku i celu. Są przetrzonne. Działają wzdłuż, wszereż i wwyż. Lecz z drugiej strony podporządkowują się kierunkowi i sile wiatru, ulegają wpływowi temperatury i hydrologii. Można stanąć z wiatrem i nie ulec zadziałaniu. Wysoka temperatura powoduje szybkie parowanie, a tym samym bardzo skraca czas działania i stężenia gazów. Woda padającego deszczu łączy się z cząstkami pewnych gazów, rozkładając je chemicznie. Poza tym przeciw najłatwiej dającym się stosować gazom wystarczającą obroną jest maska. Chroni drogi oddechowe, oczy, usta, nozdrze.

Normalna maska nie chroni przed czadem, którego jako gazu nie stosuje się, a z którym spotykamy się jedynie podczas pożarów i w przemyśle. Istnieje jednakże specjalny pochłaniacz (filter) do tego celu oraz aparaty tlenowe.

Te ostatnie uniezależniają całkowicie człowieka od otaczającej go atmosfery. Mają butlę z tlenem, umożliwiającą człowiekowi oddychanie w najgorszych warunkach i przy najcięższej pracy w ciągu 2-3 godzin, co jest okresem bardzo długim.

Maska również nie chroni przed gazami żrąco - parzącymi dla tej prostej przyczyny, że gazy te oddziałują zarówno na odzież, jak i na skórę człowieka, przeżerając jedno i drugie. Ma się rozumieć tylko w tym wypadku, gdy człowiek wejdzie w płamę iperytową lub zostanie pokropiony cieczą.

Najbardziej rozpowszechnionym typem obrony jest przygotowanie pomieszczeń uszczelnionych, na co nadaje się każdy niemal pokój. Nie chroni to przed bombą lotniczą

lecz całkowicie zabezpiecza przed gazem.

Ma się rozumieć od wymiarów pokoju zależy ilość ludzi, których można w nim zabezpieczyć.

W pomieszczeniu takim nie wolno palić świec lub lampy naftowej. Płomień bowiem konsumuje zbyt dużą ilość tlenu, który należy oszczędzać dla ludzi. Z tych samych konsumpcyjnych względów osoby znajdujące się w pomieszczeniu uszczelnionym nie powinny się ruszać, rozmawiać itd.

Jeżeli idzie o przeciwdziałanie iperytowi, to pierwszą rzeczą jest ogradzenie płamy i wystawienie tablicy ostrzegawczej „Baczność! Gaz”. Następnie specjalne oddziały zaopatrzone w środki neutralizujące, łopaty, grabie — przystępują do roboty.

Kierownik drużyny, mając patyk ze wstęgą określa kierunek wiatru, by nie rozpoczynać pracy pod wiatr, narażając się na działanie parującego iperytu. Następnie przysypuje się teren wapnem chlorowanym, przekopuje się i grabi. Na nawierzchniach twardych, jak asfalt, beton, stosuje się specjalne aparaty przeciwgazowe, które neutralizują i zmywają warstwę iperytu.

Gazy, broń bardzo obosieczna, należycie docenione, nie są bynajmniej tak straszne. Są bronią rezerwową stron wojujących, obliczoną w pierwszym rzędzie na osłabienie moralne przeciwnika. Stosowane mogą być w tym wypadku, o ile atakujący pewny jest, że nie otrzyma rewanzu. Jeżeli jest wielokrotnie silniejszy od wroga — nie ma potrzeby uciekania się do gazów.

Jeżeli jest słabszy, lub równy — to zbyt wiele ryzykuje.

Godne zanotowania jest, że wybuch bardzo silnego gazu fosgenu w Hamburgu w 1928 roku w ilościach teoretycznie wystarczających do zabicia 1.000.000 ludzi, zatrącił zaledwie 172 osoby, z których zmarło 21. A ludność Hamburga bynajmniej nie była przygotowana do wybuchu.

Wszystkie gazy są mniejwięcej tego samego pochodzenia. Powstają z surowców: ropa, węgiel i sól.

Wszystkie kombinacje tych surowców zostały w ciągu ostatnich 20 lat wyrobowane.

Gazu, któryby w mgnieniu oka zabił, truł, parzył, od którego ginęliby ludzie, bydło, muchy a drzewa żółkły i więdły — narazie nie ma.



Nowe nosze dla chorych i rannych marynarzy zastosowane poraz pierwszy na okrętach australijskich. (B.I.5082)

Rzeczy ciekawe i pouczające

He warte są klejnoty króla angielskiego? Tajemnica skarbów pałacu Windsor

W Hove zmarł w tych dniach człowiek, który zabrał z sobą do grobu „tajemnicę królowej”.

Jest to niejaki A. G. Barber, dawny burmistrz Windsoru, który w swoim czasie handlował przedmiotami sztuki i był jedynym człowiekiem, znającym dokładną wartość znajdujących się w pałacu Windsor zbiorów sztuki.

Jak wiadomo, kolekcja królewska jest jedną z największych i najcenniejszych w Europie.

Przed blisko 40-tu laty królowa Wiktoria udzieliła Barberowi polecenie oceny wszystkich skarbów, zgromadzonych w pałacu. Barber musiał się równocześnie zobowiązać, że rezultat obliczeń zachowa w ścisłej tajemnicy.

W 1900 r. królowa ofiarowała Barberowi, będącemu jej stałym doradcą w sprawach jej zbiorów, tytuł szlachecki, jednakże Barber z podziękowaniem odmówił przyjęcia zaszczytnego odznaczenia. — Od kilku lat Barber usunął się z interesu, który jest nadal prowadzony przez członków jego rodziny. — Często klientką magazynu Barbera jest również królowa wdowa Mary, będąca — jak wiadomo — namiętną kolekcjonistką.

Błękitne psy z czarną łatką i zielonymi łapkami

Kiedy przed kilku tygodniami na ulicach Paryża pojawiła się pani z pięknym pudelkiem, ludzie oglądali się za nią i spoglądali na jej miłe stworzonko z lekceważącym wzruszeniem ramion. Dziś, farbowanie psów już weszło w modę. W Paryżu istnieją dwa salony fryzjerskie, które nie tylko strzygą pieski, ale i malują je na każdy kolor, jaki się przyśni kapryśnej właścicielce. A kaprys kobiety? Łatwiej obliczyć drogi najrzadszych komet, niż przewidzieć to, czego mądry sam Sziwa przewidzieć nie zdołał. Toteż nikt się już w Paryżu nie dziwi na widok pieska malowanego na niebiesko z czerwonymi łatkami i nóżkami na zielono. Trudno! Chociaż, właściwie psu ostatecznie jest wszystko jedno.

Każdy górnik niemiecki musi mieć swoją świnię

W okręgach górniczych Rzeszy niemieckiej przeprowadzono akcję w kierunku zwiększenia pogłowia trzody chlewnej. W ramach tej akcji postanowiono, że każdy górnik niemiecki powinien posiadać swoją świnię. W tym celu sprowadzono z niemieckich hodowli zawodowych odpowiednią ilość prosiaków, które w cenie 20 marek za sztukę odstępowane będą górnikom. W ten sposób władze niemieckie dążą do zwalczania dotkliwego braku tłuszczów, dającego się szczególnie we znaki ludności robotniczej.

Wędrująca góra

Na południe od San Francisco ruszyła góra, która posuwa się od pewnego czasu nieprzerwanie w kierunku miasteczka Gilroy. Dotychczas musiano ewakuować 12 gospodarstw wiejskich położonych na drodze wędrującej góry.

500-letni zółw

Wiadomo powszechnie, że zółwie należą do zwierząt, które najdłużej żyją. Niedawno rybacy w Ameryce złowili zółwia, który miał 4 metry długości i odpowiednio dużą wagę. Po dokładniejszym zbadaniu jego skorupy, uczeni amerykańscy doszli do przekonania, że zółw ten liczy około 500 lat, czyli przyszedł na świat w czasie, kiedy Kolumb odkrył Amerykę.

Niemcom brak wełny; cukier chcą wytwarzać z drzewa

Trzy największe fabryki włókiennicze na terenie Czech są nieczynne od dłuższego czasu z powodu braku wełny. Fabryki te miały zamówienia na sukno do mundurów wojskowych. Nalegane przez władze wojskowe fabryki odpowiedziały, że zamówień wykonać nie mogą, nie posiadając żadnych zapasów wełny.

Ten sam dziennik donosi, że Niemcy sprowadzają z Rumunii wielkie ilości drzewa, z którego jakimś nowym sposobem ma być wytwarzana namiastka cukru.

Murzyni emigrują z Ameryki

Wśród murzynów amerykańskich można od dłuższego czasu zaobserwować ciekawy ruch. Bogatsi z spośród nich emigrują ze Stanów Zjednoczonych i wracają do ojczyzny swych przodków — Afryki. Większość emigrantów murzyńskich wybiera jako miejsce osiedlenia Afrykę południową, zwłaszcza okolice Kapsztadu.

Fenomenalna pamięć

Dr. Carleton Scofield, profesor psychologii na uniwersytecie w Buffalo opowiada w jednym z czasopism naukowych o niezwykłych właściwościach 19-letniego Franciszka Magnera, posiadającego zdolność pamiętania rzeczy, których nie rozumie. Syn robotnika, nie posiadający sam żadnego wyższego wykształcenia, F. Magner po wysłuchaniu dłuższego wykładu naukowego albo deklamacji polskiej, rosyjskiej lub włoskiej, w językach za tym których zupełnie nie zna, powtarza je natychmiast w całości z pamięci.

Gołębie uratowały lotnika

Jeden z lotników angielskich, znajdując się na niebezpiecznym locie wywiadowczym zabrał ze sobą dwa gołębie pocztowe. Podczas drogi powrotnej samolot musiał lądować na morzu. Lotnik zdołał wypuścić obydwie gołębie, nie mając już jednak czasu na zaopatrzenie ich w wiadomość, gdzie się znajduje.

Powrót obydwu gołębi zaalarmował władze lotnicze. Wysłano samoloty, które odnalazły pilota, trzymającego się resztkami sił uszkodzonego samolotu.

Olbrzymia ośmiornica

Rybacy udający się na połowy dalekomorskie, znaleźli w pobliżu Kapsztadu ośmiornicę, która już nie żyła, gdy dostała się do sieci rybackich zastawionych na grubszą rybę morską. Jedno z ramion olbrzymia głębokich wód miało 10 metrów długości. Potwora odstawiono do miejscowego muzeum morskiego, gdzie po odpowiednim zakonserwowaniu umieszczono go w osobnym akwarium.

Odkrycie szczątków nieznanego płaza

Na brzegu miejscowości Provincetown w Stanach Zjednoczonych znaleziono szczątki nieznanego płaza, przedstawiające dużą wartość dla nauki. Długość ogona tego stworzenia przekracza 9 metrów. Głowa jego przypomina budową głowę krokodyla i jest zaopatrzona w dużą ilość zębów. Odkrycie tych szczątków wywołało dużą sensację wśród miejscowych rybaków, którzy twierdzą, że są to szczątki legendarnego węży morską. Komisja uczonych uniwersytetu Columbia zajmie się zbadaniem tych szczątków i zbada, czy nie należą one przypadkiem do któregoś z przedhistorycznych płazów.

Anglik jest „zimnym“ tylko z pozoru

Znany pisarz angielski Priestley zamieścił na łamach miesięcznika „Liliput” interesującą charakterystykę Anglików.

— Życie jest pełne tajemnic. Co chwila stajemy wobec zagadnień, których nie umiemy sobie wytłumaczyć. Mnie na przykład od dłuższego czasu dręczy następujący problem.

Na przełomie 16 i 17 wieków, uważano Anglików za ludzi uczuciowych. Cudzoziemcy zapewniali, że Anglicy nie umieją ukrywać swych uczuć, śmieją się i głośno płaczą.

Literatura bywa zwykle refleksją duszy narodu. Otóż poważna literatura angielska nie zawiera żadnych śladów zahamowań. Szekspir i jego następcy nigdy nie usiłowali zachować olimpijskiego spokoju, ich dramaty rozbrzmiewały hałaśliwym śmiechem i głośnym łkaniem, później również angielska literatura bywała odbiciem silnych namiętności. Angielscy pisarze Stern i Richardson otworzyli tamę sentymentalizmu, który w 18 wieku ogarnął całą Europę. Powtórzyło się to i w wieku 19, gdy Dickens wprowadził modę śmiechu przez łzy i płaczu przeplatane uśmiechem.

„Sorstey i nieczuli”

A jednak przynajmniej w ciągu stu lat uważano nas za naród twardego, tępy i opanowany. Odette Kemp pisała: „Anglicy sprawiają wrażenie ludzi zimnych, szorstkich, nieczułych”. Miała o tyle rację, że Anglicy rzeczywiście takie wywierają wrażenie. Przeciętny Europejczyk do tej pory uważa, że są oni niezdolni do odczuwania silniejszych namiętności.

Otóż właśnie w tym tkwi zagadka. Ludzie wrażliwi zamienili się nagle w tępe glazy. Wydaje mi się, że nie tyle myśmy się zmienili, co Europa zmieniła o nas zdanie, a zdarzyło się to na przełomie 18 wieku. Pewna kategoria Brytyjczyków zaczęła wówczas udawać zmodernizowanych Rzymian, zdobywców świata. W każdym razie taki sobie nadawano ton i styl. Bardzo to było pożyteczne w Indiach. Klasycznym przykładem zimnego, nieczulego Anglika, stał się z czasem, po odbyciu służby w Indiach książę Wellington. Był tym bardziej typowym okazem tego przeistoczenia się, że w żyłach jego płynęła krew irlandzka. W okresie gospodarki Wellingtona przyzwyczajono się uważać ten typ męża stanu za standardowy, słowem Wellington stał się przedstawicielem dziwacznej wyspiarskiej nacji. Z czasem zaczęto go naśladować. Dla niewielkiej grupy ludzi rządzących w Azji i Afryce, postawa zimnego, nieczulego jegomościa jest nadzwyczaj korzystna. Trzeba za wszelką cenę zachowywać wyniosły spokój zdobywcy, w stylu Juliusza Cezara.

Tak więc powstała w wieku 19 kasta urzędników, wojskowych i mężów stanu, którzy usiłowali nadać sobie pozór zupełnej nieczułości. Innym charakterystycznym typem był lord Curzon, któremu notabene przychodziło z niezmiernym trudem odgrywanie roli lodowca. W dobie wiktoriańskiej przyłączyli się do tej kasty wzbogaceni kupcy z północy, wywodzący się spośród purytanów. Oni również udawali, że są absolutnie nieczuli i pozbawieni ludzkich uczuć, bo to im pomagało w „businessie”, zresztą każde wzruszenie, które nie rodziło się w atmosferze kaplicy — wydawało się czymś podejrzanym i niebezpiecznym.

Sahibi i dorobkiewicz

Wpływ dwóch kast — sahibów i dorobkiewiczów przemysłu tekstylnego był tak przemożny (Anglia jest krajem snobów, naśladowających

wiernie tych, co im imponują), że jedynie klasa robotnicza znajdowała się poza zasięgiem tych wpływów. Cóż stąd wynikało? To, że klasa robotnicza w Anglii zachowała cechy elżbietańskiej Anglii, pozostającej

bezpretensjonalne, wesołe sztuki nie wymagające od widza wysiłku myślowego.

Teatr West Endu, gdzie widownia składa się przeważnie z osób dystygowanych lub zamożnych, zdo-



Publiczność angielska, folgując naturalnemu odruchowi ciekawości, przypatruje się z zainteresowaniem słynnemu cow-boy'owi ekranowemu, „Tom-Mix”, gdy ten konno przejeżdża przez Malborough Street. — Scenę tę zaobserwowano przed wybuchem obecnej wojny. (B. I. 5087)

emocjonalną, skłoną do wzruszeń, głośno wyrażającą radość i żal, wcale nie silącą się na tłumienie naturalnych uczuć.

Od czasu wojny światowej wpływy sfer rządzących zmalały, a równocześnie wzmożła się emocjonalność szerokich mas. Przejawia się to przede wszystkim w teatrze. Największym powodzeniem cieszą się

bywały największe sukcesy, wystawiając sztuki błahe, powierzchowne, pozbawione głębszej treści. Gdy Somerset Maugham zmienił ton swych sztuk i przemówił poważniej w swoim „For Service i Sheppey” — stracił mir u „chlebowców”. To samo zdarzyło się z Noelem Cowardem i Lonsdalem. Póty ich podziwiano i obsypywano złotem, póki

SZWECJA

W związku z napadem na Finlandię, czują się zagrożone również graniczące z nią Szwecja i Norwegia. I kto wie, czy wkrótce już i one nie zostaną wciągnięte do zbrojnych działań. W przewidywaniu najgorszego, państwa te wzmacniają obecnie swą siłę obronną.

Życie mieszkańców Szwecji jest przede wszystkim związane z morzem, stąd pierwsze osiedla ludzkie powstały nad brzegami mórz, jezior, fiordów a w miarę posuwania się ludności w głąb kraju i rozwijania się rybołówstwa i myślistwa nad brzegiem tych rzek, które miały połączenie z morzem. Kiedy ludność zaczęła się zajmować rolnictwem, powstały w zachodniej i południowej Szwecji osiedla rolnicze. Wskutek tego, że miasta powstały wzdłuż wybrzeży morskich jest przerosł portów, co łączy się z importem produktów i surowców szwedzkich.

Jeżeli chodzi o wygląd miast, to miasta portowe i przemysłowe ma-

ją charakter półkolisty, amfiteatralny w zależności od naturalnego położenia zatoki. Charakterystyczną cechą wielkich miast, szczególnie Oslo i Sztokholmu są ich podmiejskie okolice, ciągnące się na znacznej przestrzeni z licznymi wилami o barwnym kolorycie, podobnymi do domków z kart. Wznoszą się one na podłożu skalnym, otacza je wieńiec drzew, prowadzą do nich schodki wykute w skale, a roślinność w ogródkach czerpie pokarm z ziemi specjalnie nawiezionej.

Do najpiękniejszych miast Szwecji zaliczyć należy Sztokholm, leżący nad jeziorem Malarem, od 700 lat stolica Szwecji. Ze względu na położenie nazywają go „Wenecją Północy” lub „Królem Bałtyku”. Jeżeli chodzi o wygląd miasta, to jest duża różnica między starym a nowym miastem. Stare miasto cechują bardzo wąskie uliczki, wychodzące na port. Przeciwległe domy w niektórych ulicach łączą ganeczki. W



Nowa dzielnica Sztokholmu, zabudowana blokami domów mieszkalnych, dochodzących do 10 pięter wysokości. Domy zawierają przeważnie mieszkania 1-2 pokojowe z wszelkimi wygodami. (B. I. 5091)

nie próbowali wstrząsać sumieniami.

Strach przed wzruszeniem

Szczegół charakterystyczny — właśnie ta kategoria widzów ostatnio zaczęła zdradzać teatr z filmem. Wiadomo, że film wymaga mniej wysiłku myślowego, niż głębsza sztuka teatralna, gdyż przeciętna produkcja hollywoodzka odpowiada inteligencji czternastoletniego podlotka. Niezależnie od poziomu gry aktorskiej i reżyserskiej roboty, film nie jest w stanie konkurować z dobrą sztuką teatralną, choćby dlatego, że jest jedynie bladym odbiciem zdarzeń, które miały dawniej miejsce. Otóż dla ludzi „fashionable”, o których była wyżej mowa, komedia cieniów nie wywołująca w duszy gwałtowniejszego wstrząsu jest widowiskiem miłszym niż sztuka teatralna działająca bezpośrednio na system nerwowy.

Ale ci państwo nie są „narodem angielskim”, tylko, że naród niepotrzebnie ich małpuje. Na tym polega błąd Anglików, że zawsze naśladowują obyczaje wyższych klas. Anglicy nie są rasą namiętną ale są głęboko uczuciowi i skłonni do wzruszeń.

Jednym z przejawów tej uczuciowości jest przywiązanie do tradycji do pamiątek bezużytecznych, ale przepojonych czarem wspomnień.

Tego rodzaju naród musi znajdować ujście dla swych uczuć. Anglia musiała wydać Szekspira, człowieka o burzliwej duszy, tak samo jak Francja wydała Racine'a, który najbardziej odpowiadał jej umysłowości. Anglikom dobrze robi, gdy dają folę wzruszeniom, gdy śmieją się na całe gardło i płaczą. Jedynie sfery wyższe stosują się tak ślepo do nowej mody, jakby nie były zdolne do żadnych namiętności. Większość jednak zachowuje się „po angielsku” i gdy ją coś wzruszy, reaguje silnie, głęboko i szczerze.

nowym mieście nie brak gmachów i drapaczy chmur. Dojście na piętra wyższe nie stanowi trudności, gdyż każdy gmach posiada windę. Jako miasto nowoczesne, gdzie technika porobiła wielkie postępy, posiada Sztokholm w domach jak i na ulicach wszelkie urządzenia elektryczne.

Domy budowane z cegły, posiadają dachy spadziste, kryte dachówką lub blachą. Okna szerokie są zaopatrzone storami zawieszonymi w trzech kolorach: pomarańczowym, niebieskim i zielonym.

Po szerokich asfaltowych lub granitem wyłożonych ulicach mkną samochody, tramwaje, rowery. Nie spotyka się ani jednej dorózki. Nie słycać trąbek automobilowych, mimo tego nie ma tu wypadku przejechania kogoś. Ruchem ulicznym kieruje policjant, stojący w specjalnie dla niego wybudowanej budce. Wszędzie panuje wzorowy porządek. Sklepy posiadają pięknie urządzone wystawy.

Sztokholm pod względem kulturalnym stoi bardzo wysoko, posiada wiele instytucji oświatowych i naukowych.

Niedaleko od Sztokholmu w leśnej okolicy staraniem miasta powstało osiedle dla robotników. Robotnik otrzymuje materiał budowlany na budowę domu, który po 30 latach staje się jego własnością, jeśli robocizną zwróci miastu sam lub z rodziną 1.000 koron. Zarząd nad instytucją sprawuje samorząd miejski.

Humanitaryzm Szwedów idzie w trzech kierunkach: opieki nad matką, dzieckiem i starcem.

To też Szwecja była jednym z pierwszych państw, które pospieszyły z pomocą ewakuowanej ludności fińskiej a nawet przyjęła na swój teren kilkadziesiąt tysięcy uchodźców.

Przewidział!...

On: — Kochanie moje! W tej starej sukience doprawdy już nie możesz pójść do teatru...

Ona: — Masz rację! Jest rzeczywiście skandalicznie zniszczona...

On: — No widzisz! Odrazu przewidziałem i dobrze, że kupiłem sobie tylko jeden bilet!...

Z opowiadań roztargnionego podróżnika.

— Prawdziwe weneckie lustro, moi państwo, nawet bez szkła i bez ram, kosztuje ponad tysiąc franków na nasze pieniądze.

Z przemówienia

„Towarzysze! Musimy iść ręką w rękę! A dlaczego musimy iść ręką w rękę? Dlatego, że jeśli nie będziemy szli ręką w rękę, to wezmą nas za rękę!”

— Towarzysze! Musimy iść noga w nogę! A dlaczego musimy iść nogą w nogę? Dlatego, że jeśli nie będziemy szli nogą w nogę, to dostaniemy nogą... ale nie w nogę.

Towarzysze! Musimy stać murem! A dlaczego musimy stać murem? Dlatego, że jeśli nie będziemy stali murem, to się znajdziemy za murem, lub pod murem!

— Towarzysze! Za dawnych czasów dosyć dużo lano pomyjów na nasze głowy, dziś możemy nareszcie i usta utworzyć!

Posłuszne dziecko

Na podwórzu kamienicy bawią się dzieci. Wchodzi jakiś pan i mówi do jednego z nich:

— Czy nie wiesz mały, gdzie tu mieszka pani Kaktusińska?

— Wiem.

— Czy możesz mnie tam zaprowadzić?

— Mogę.

— No to zaprowadź. Dam ci franka na cukierki. Chłopiec prowadzi obcego pana do drugiego podwórka, do sieni, po tym schodami na szóste piętro i mówi:

— Tu mieszka pani Kaktusińska. Ale jeżeli pan chce z nią mówić, to musimy wrócić, bo jej nie ma w domu. Stała właśnie w bramie i rozmawiała z dozorczynią.

Sąd sprawiedliwy

Na sali panuje straszny hałas. Zdenerwowany do ostateczności sędzia zwraca się do woźnego i mówi:

— Niech pan uspokoi publiczność, inaczej każę opróżnić salę. Ten hałas przyprawia mnie o wariację. Rozstrzygnąłem dziś nie wiem ile spraw i ani jednej z nich nie słyszałem!...

Nie wystarczy

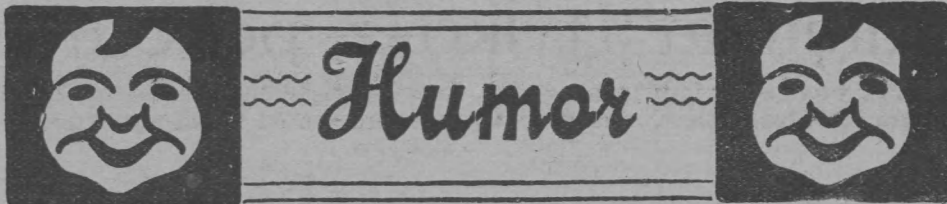
Szef: Jakże to? Trzy dni urlopu potrzebuje pan z powodu przyścia na świat potomstwa? Jeden dzień panu nie wystarczy?

— Niestety panie szefie! Przyszły na świat... trojaczki!

Kiepskie czasy



— Jak idą interesy?
— Kiepsko. Od czasu wybuchu wojny dokładam gotówką.
— To dlaczego nie zwiniesz budy?
— A z czego bym potem żył?



W domu wariatów

Lekarz widząc, że jeden z jego pensionariuszy szykuje się do skoku z okna trzeciego piętra, podbiega i woła przerażony:

— Bój się pan Boga! Cóż pan robi?

— A nic. Chcę skoczyć do tego wiadra co stoi na podwórzu.

— Do wiadra? Przecież to niechybna śmierć!

— Ma pan rację. Skoczę obok wiadra.

Wyśmienite lekarstwo



Lekarz: — Czy pomogły pani proszki, które zapisałem?

Pacjentka: — Nadzwyczajnie. Mnie zniknął reumatyzm, synowi wyleczyły kaszel a resztą mąż czyści rower.

Zna ją lepiej!...

— Jeśli na imieniny żony — doradza kwaciarka — byłabym zdania, żeby pan kupił róże... Niech pan pozwoli, żeby kwiaty same przemówiły.

— Świetnie! Niech pani mi jedną zawinie!

— Jedną? To przecież za mało!...

— Dosyć, dosyć! Jeśli mają przemawiać, to i tak reszty moja żona do głosu nie dopuści.

W ogrodzie zoologicznym

— Mamusiu, a ten zwierz jak się nazywa?

— Słoń.

— A po co on ma takie duże uszy?

— Bo cały jest duży.

— A czy go kto targa za uszy?

— Nie.

— To szkoda. Takie ogromne uszy i tak marnieją.

Niepokojące pogłoski

Rzecz dzieje się w Niemczech. Agitator partyjny przemawia na zebraniu i w pewnej chwili woła:

— Nadejdzie niebawem dzień, w którym stanie się zadość sprawiedliwości.

Po zebraniu podchodzi doń dwóch agentów Gestapo.

— Pan pozwoli z nami...

— Ja... za co?

— Pan rozsiewa niepokojące pogłoski.

Zły punkt widzenia

Pan Kokosiński daje przyjacielowi fotografię i mówi:

— Patrz: to jest moja fotografia z lat dziecińczych.

— Co? — dziwi się przyjaciel. — Już wtedy byłeś łysy?

— Nie! Tylko ty trzymasz fotografię do góry nogami...

Reakcja

— ...I pan nie zareagował na policzek?!

— Zareagowałem.

— Cóż pan zrobił?

— Fiknąłem kozła.

Dowcipny farmer

Farmer przyszedł do miasta, zobaczył zbiegowisko i od mieszczucha chciał się dowiedzieć, co się tam stało?

Mieszczuch, chcąc zadrwić z farmera, odpowiedział:

— Krowa jaję zniosła, nie wiedzieć, co się wylęgnie z tego. — Może wy wiecie?

— Mnie się zdaje — odrzekł farmer, — że z tego wylęgnie się wół, taki jak wy panoczku.

Jego kłopoty



Szlachetna ofiarodawczyni: — Tutaj macie, dobry człowieku, kawałek chleba.

Żebak: — Czy nie mogłaby mi pani ofiarować trochę benzyny do mojego wozu?

Tak, to co innego

— Jak pan śmiał przeszkadzać mi podczas wczorajszego odczytu?

— Ja? — Nic podobnego!

— Wyraźnie słyszałem pański głos.

— Chyba przez sen mówiłem.

Troskliwy Zygmunt

Zygmunt widzi w kuchni na stole dużego karpia, który z braku wody szeroko pysk otwiera.

— Mamusiu — woła — mamusiu, każ Marysi, żeby położyła rybę spać, bo okropnie ziewa!

Dowcipy wojskowe.

Dwaj londyńczycy, pełniąc straż na wysuniętym odcinku frontu zachodniego, wszczęli rozmowę.

Bert. — Słuchaj no Bill, co skłoniło cię do zgłoszenia się na ochotnika do wojska?

Bill. — Ano, nie jestem żonaty, jestem sam na świecie i lubię przygody. A więc... Ale ty, dlaczego ty się zgłosiłeś?

Bert. — Ja, mój drogi? Mam żonę i dziesięcioro dzieci. Wstąpiłem więc do armii, aby mieć spokój.

Młody oficer (poraz pierwszy w linii ognia):

— Czego szukacie?

Stary żołnierz: — Mojej ręki. Pociśk mi ją oderwał.

Oficer: — Nie myślcie już o niej. Jest wojna...

Stary żołnierz: — Zgadza się. Ale mnie też nie chodzi o rękę, tylko o fajkę, którą trzymała.

Oficer przebywający na urlopie, otrzymuje list od kolegi na froncie. List kończył się jak następuje:

„...Leżymy w okopach. I gdy tylko bosze się pokażą, odsyłamy ich wszystkich do... diabła.”

Ostatnie słowo ledwo można było odczytać, gdyż cenzor przekreślił je i na marginesie wypisał tę wzmiankę:

„Wszelkie wskazówki, odnoszące się do ruchów wojsk nieprzyjacielskich, są surowo zakazane.”

Czy wiecie że...

Co tydzień do 93 tysięcy kinoteatrów, rozsianych po całym świecie, udaje się olbrzymia armia widzów, licząca 280 milionów osób.

Najbardziej kinomańskim krajem na świecie są Stany Zjednoczone, ponieważ na 130 milionów mieszkańców, chodzi do kin co tydzień 88 milionów.

W Europie znajduje się około 60 tysięcy kin, przytem największą ilość dotychczas mieli Niemcy — około 7 tysięcy. W wielkim ks. Luxemburg znajduje się 30 kinoteatrów. Warto tu wspomnieć, że w tym miniaturowym państewku nie istnieje cenzura filmowa.

W Polsce przed wojną było 807 kin. Liczyły one 288,400 miejsc siedzących dla publiczności. W roku ubiegłym sprzedano w Polsce 57 milionów 165 tys. biletów, z czego wynika, iż każdy mieszkaniec Polski bywał w kinie dość często.

Powyższe statystyki chyba najlepiej świadczą o potędze filmu.

Miłość i film.

To wtedy właśnie się zaczęło, Stąd cała poszła awantura! I ja w to właśnie wpaść musiałem Na mnie trafiło akurat.

Kochałem... Wreszcie nie wytrzymał

I walę: Jedną mi dziewczyną!

A ona na to mi powiada:

Pójdziemy razem dziś do kina.

Myślałem sobie „dobra nasza!”

W kinie jej wyznam, że ją kocham, Jak do niej tęsknię, jak śnię o niej, Jak serce mi z miłości szlocha.

Lecz właśnie... Niech to diabli wezmą!

Dawali film z Rolmopsem Garry

I wtedy właśnie zrozumiałem,

Jakie płonne moje są zamiary.

Skąd mogłem wiedzieć, proszę państwa,

Zupełnie to mi było obce,

Że ona kocha się w tym Garrym

I że szaleje za Rolmopsem.

Myślałem: może szal chwilowy?

Może jej przejdzie? Może minie?

Lecz gdzie tam! Tak się w nim kochała,

Jakby naprawdę żył — nie w kinie

Codziennie rano do mnie dzwoni,

Ach jakaż miła to dziewczyna!

I umawiamy się na wieczór,

Znów na Rolmopsa, znów do kina.

I znów wyglupia się ten Garry

Za wstęp ja płacę, choć się wściekam,

A ona wpada w zachwyt szczery

I do Rolmopsa się uśmiecha!

(A.B.C.)

Marzenie niemieckich ojców rodzin.



Każdy z nich chciałby być sztuki-mistrzem.

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Mały bohater

(Obrazek niedawnej przeszłości).

Staszek - pucobut rozłożył na chodniku swoje szczotki oraz pudełko z pastami do obuwia i w oczekiwaniu zarobku, zamyślił się głęboko. Miał o czym rozmyślać, bo właśnie wczoraj przeczytał historię „O Wicku Warszawiaku i jego śmierci”, którą przyniósł mu do czytania Franek, roznosiciel gazet.

Przez całą noc marzył o Warszawie i wreszcie postanowił, iż w najkrótszym czasie tam pojedzie. Teraz jednak, kiedy spojrzął na wyłoczone słońcem listopadowym ulice Lwowa, uczył, że i Lwów jest bardzo piękny i bardzo wspaniały oraz, że kocha go sercem całym i porzucić nie potrafi. Począł tedy żałować, że nie znał książki, w jakiejby Lwów był tak słownie opisany, jak Warszawa. Nieprzyjemnie mu także było, że bohaterem historyjki jest mały gacziarz a nie taki chłopiec, co czyści buty przechodniom. Zdawna bowiem trwały między lwowskimi gacziarzami a pucobutami zatargi o pierwszeństwo.

— Jezu mój, — myślał Staszek, rozglądając się po ulicy. Już chyba i Warszawę trudno bardziej kochać, takie to godne miasto ten Lwów. Teraz to trochę gorzej wygląda, bo Austriaki nasze wojska wysłali i same Ukraińce się po ulicach włóczą, a człowiek zamiast ludzkich butów, hajdamackie stępy czyścić musi. To też takie to i czyszczenie, byle tych parę centów zarobić, a z głodu nie zdechnąć. Do zdychania to teraz racji wielkiej niema: wszystko dobrze się układa, Prusaki i Austriaki w skórę biorą, a z nimi ich przyjaciół, hajdamaki, lanie dostaną. Żeby to tylko w tym wysłaniu wojska naszego jaki zły figiel się nie krył. Po hajdamakach wszystkiego spodziewać się można. Ale niech jeno spróbują, to i bez wojska regularne pokaże się im, gdzie raki zimuja.

Obawy Staszka nie były płonne.



Gmach politechniki we Lwowie, w którym mieścił się w czasie walk w r. 1918 główny szpital wojsk polskich (B. I. 5094)

Zaraz nazajutrz, dnia 11-go listopada, Lwów został podstępnie zagarnięty przez Rusinów. Trwoga i rozpacz ogarnęły mieszkańców. Miasto pozbawione wojska i broni nie chciało się jednak zgodzić na hańbiącą niewolę. Pierwsze hasło do obrony dała młodzież, która zebrawszy się, zdobyła broń na Rusinach, po czym zabarykadowała się w gmachu szkoły im. Sienkiewicza. Wiść ta rozszła się między Polakami. Za przykładem młodzieży poczęto odbierać broń Rusinom, zdobywać dom za domem, ulicę za ulicę. A Staszek, dziesięcioletnie zaledwie chłopię, za słabe by unieść karabin, cóż ma począć w tych dniach zamętu i przyszej chwały? Ale nietylko siłą fizyczną świat się trzyma. Ma Staszek spryt i rozum, ma odwagę i ogrom-

ną miłość dla swego ukochanego miasta.

Noc zaległa miasto a śmierć czai się na każdym kroku. Nie zważa na nic Stach, lecz biegnie, jak mu tylko małe nogi i dobrze wyladowany plecak pozwalał. Przekradał się niepostrzeżony między oddziałami wojsk nieprzyjacielskich, jak cień. Serce mu silnie biło, gdy spostrzegł, że jest już blisko celu. Na czarnym tle nocy zarysowały się kontury gmachu, od czterdziestu godzin obleganego przez Rusinów.

Szczupła gromadka polskich bohaterów dzielnie wytrzymywała napór hajdamacki. Broni i amunicji posiadali pod dostatkiem. W tych warunkach mogliby wytrzymać choćby dwutygodniowe obleżenie, gdyby nie to, że wróg sroższy od hajdamaka, zajrzał do zaimprovizowanej twierdzy. Bohaterowie nasi od chwili zabarykadowania się, nie mieli nic w ustach. Czuli, że siły odmówią posłuszeństwa, a nadziei rychłego otrzymania pomocy nie mieli, gdyż ta część miasta jeszcze prawie całkowicie znajdowała się w rękach Rusinów.

Była noc głęboka i zarówno oblegający, jak oblegani zaprzestali na krótki czas strzelanin. W gmachu zapanowała cisza. Myślano o tym, jak długo jeszcze będzie można się bronić przed nieprzyjacielem i głodem. W tym zapukano do drzwi:

— Kto idzie?

Puściecie to ja, Staszek - pucobut, Polak, rozległ się dziecienny głos. Puściecie, kartofle przyniosłem.

Wyraz „kartofle” wywołał ogromne poruszenie. Momentalnie odryglowano mały otwór w drzwiach i przy świetle kieszonkowej latarki, ujrzano drobną postać chłopca, dźwigającego wyladowany plecak. Wpuszczono go do środka. Stał pod ścianą i zaczął wydobywać z worka pieczone kartofle, które wnet

rozhwytali wygłodniałymi żołnierzami. A Staszek patrzył, jak się posilają obrońcy miasta i czuł, że jeszcze nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy, jak w tej chwili.

— Kto ci rozkazał przynieść te kartofle? — spytał go przywódca małej załogi.

— Ktoby miał rozkazywać! — rezolutnie odparł Staszek. — Wiedziałem, że tu jedzenia niema to i przyniosłem.

— A nie bałeś się, że cię Rusini zabiją?

— Raz kozie śmierć! — odparł wesoło chłopak.

I tak nosił wszelką strawę walczącym. Przemyślał się dniem i nocą pod gradem kul nieprzyjacielskich. Serce mu rosło z radości, że miastu

Było to w Palestynie. Koło bramy miasta siedziała gromadka dzieci i wesoło patrzyły ku górze. Czyste niebo zapowiadało pogodę. — Wycieczka w góry uda się znakomicie — myślały.

Tylko jeden chłopiec siedział na uboczu i chmurnie patrzył na cały świat. Był to Rubin, leniwy, niedobry chłopak. Nikt go nie lubił i on nikogo nie kochał. Każdemu zrobił przykrość, powiedział złe słowo.

— Dlaczego nie idziemy już na tę wycieczkę? — zakrzyknął

— Czekamy na Jezusa!

— Możemy iść bez Niego, a nawet będzie nam weselej — kończył Rubin.

— O nie! nie! — zawołały dzieci.

— On musi być z nami. On nas zawsze prowadzi, uczy, rozwesela i broni przed złymi ludźmi.

— No, to do widzenia, idę sam!

— Rubinie, dlaczego nie lubisz Synka Marii? — zapytał Szymonek.

— Przecież to najlepszy chłopiec, każdemu czyni tyle dobrego.

— Mnie nic nie zrobił, nawet raz upomniał.

— Bo On się smuci, jak widzi twoje złe serce, pragnie je zmienić. Otóż i On! I dziatwa z radością powitała Jezusa, a On się wdzięcznie uśmiechał.

Wtem koło Jego głowy przeleciał kamień. Dzieci się przestraszyły i tylko jeden Jezus spokojnie zwrócił się w stronę Rubina i popatrzył nań ze smutkiem. Rubin zawstydzony spuścił głowę i zaciskając pięści, poszedł za dziećmi.

Co za śliczna przechadzka! Oto przed nimi unoszą się barwne motyle, ptaszki śpiewają, kwiaty się śmieją, a w dali góra, na którą dzieci dążą.

Jezus szedł wolno i zbierał kwiatki, pragnął przynieść je do domu dla swojej kochanej mateczki.

Spostrzegł je Rubin i zła myśl przyszła mu do głowy. Pobiegł naprzód i deptał wszystkie kwiaty, aby Jezus nie mógł ich zerwać. — Takie złe serce miał Rubin.

Lzy stanęły w oczach Bożej Dzieciny... Dlaczego Rubin taki niedobry? Dlaczego psuje kwiaty? Dlaczego mnie tak nie lubi?

A Rubin cieszył się, że Jezuska

rodzinnemu przysłużyć się może. Aż oto nastał dzień triumfu. Z Warszawy nadeszły posiłki i hordy rusińskie zostały wyparte ze Lwowa.

Franek od paru godzin przebiegał ulice Lwowa, pragnąc odnaleźć Staszka, którego od dwóch dni nie widział. Dziwiło go niezmiernie, iż w tym dniu radosnym Staszka od rana nie spotkał. Domyślał się strasnej prawdy i zarazem bał się stwierdzenia swych domysłów.

Ściemniało się, kiedy skierował się na boczną uliczkę przedmieścia, najdłuższej pozostającego w rękach Rusinów. Czuł, że tu znajdzie Staszka. I rzeczywiście, pod podziurawionym przez kule parkanem, leżał Staszek na wznak, ręce miał rozrzucone, a wysypiane z rozdartego worka kartofle nurzały się w kałuży krwi. Kula nieprzyjaciela trafiła małego bohatera w chwili, gdy próbował przedostać się przez parkan, by zanieść posiłek godnym żołnierzom.

Zginał na posterunku, niosąc Ojczyźnie życie, jak żołnierz, jak ry-

zasmucił i dalej niszczył kwiaty. Wreszcie wszyscy znaleźli się na górze, i cieszyli się przesłicznym widokiem. Oto nad nimi było jasne niebo, po którym płynęło złociste słońce, a u stóp góry, zielone łąki ukraśzone kwieciami, złote pola pokryte zbożem. Tu i tam drzewo, a w dali widniało miasto. A dzieci patrząc na te cuda powtarzały: — Dobry jest Pan Bóg, jak bardzo kocha ludzi!

— Oj, dobry, dobry, i kocha was bardzo — szeptał Jezus — obyście i wy Jego tak kochali. Działwa rozbiegła się za kwiatami.

— O, jakie cudne róże! — wołał Jezus — przyjdźcie do mnie, kwiatki, do mojej wiązanki, dla mojej Mateczki.

Ale i Rubin spostrzegł je. — Nie będziesz ich miał — pomyślał, roztrzącał dzieci i skoczył, by zdeptać niewinne kwiatki. Wtem noga mu się poślizgnęła, w głowie mu się zakreśliło i Rubin wpadł w przepaść bez życia... Dzieci oniemiały z przerażenia.

— Spieszmy do niego, — wyrzekł pierwszy Jezus — może go uratujemy.

I szybko pobiegły dzieci, ale najszybciej biegł Jezus. Zapomniał, że ten Rubin mu dokuczał, że dla wszystkich był zły, myślał tylko o jego ocaleniu, o biednej matce niedobrego chłopca.

— Rubinie, co ci jest? — zapytał leżącego. Ale Rubin się nie ruszał, nie oddychał i tylko na czole widniały krople krwi. Dzieci dotykały go, przemawiały ale Rubin tego nie słyszał, bo nie żył.

— Biedny, biedny Rubin, zabił się, — mówiły. A drugie: — Dobrze mu tak, dlaczego wszystkim dokuczał, dlaczego był taki niedobry?

— Ej, — rzekł Jezus — czy nie wiecie, że trzeba zapominać przykrości i przebaczać tym, co nam złe czynią?

I wziął Rubina za rękę i rzekł: — Wstań, i chodź!

Na te słowa Rubin otworzył oczy, podniósł się i wstał. Pomału, pomału przypominał sobie co się stało. Dzieci przestraszone, zdziwione, zachwycone opowiedziały mu całe zdarzenie.

— Ach, byłem taki zły dla Jezusa, a On mnie wskrzesił!

I chciał paść na kolana i przeproszać i dziękować, ale Jezusa już nie było.

Odszedł do domu i tylko na drodze po której przechodził, kładły się jasne promyki słońca i kwiaty rozchylały się i skowronki unosząc się, śpiewały:

— Jak dobrym, jak dobrym jest Pan!

Wyciąć i starannie zachować

NINIEJSZY

B O N

udowadniająca zakup nr. 230 „ILUSTRACJI POLSKIEJ” uprawnia Czytelnika do otrzymania wyższej zapomogi dobrowolnej, wypłacanej stałym abonentom „NARODOWCA” w razie śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku przy pracy — w myśl warunków, ogłaszanych :-: w „NARODOWCU” :-:

WOJNA NA MORZU

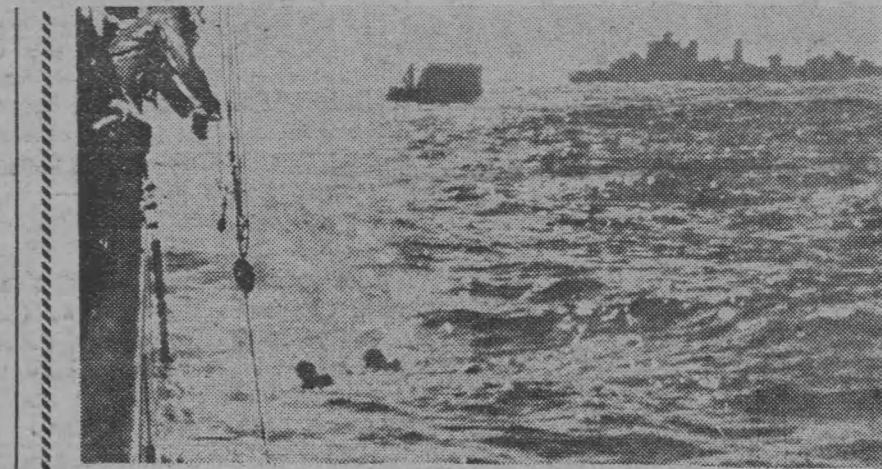
Wojna na morzu toczy się głównie między Anglią i Niemcami. Flota francuska jest niemal całkowicie skoncentrowana na Morzu Śródziemnym, aby zabezpieczyć komunikację z Afryką i Kanalem Sueskim oraz czuwać nad Włochami. Angielskie statki wojenne kontynuują blokadę na Morzu Północnym, trzymają ponadto straż na Morzu Śródziemnym, na Atlantyku i Pacyfiku, aby polować na niemieckich korsarzy i wytepić całkowicie tę plagę.

Z marynarką angielską współpracują jednostki polskiej floty, które zdołały wydostać się z Bałtyku.

We wojnie światowej Niemcy mieli potężniejszą flotę, która zadawała koalicji wielkie straty na obydwóch oceanach. Pojawiające się nieco później łodzie podwodne stały się tak niebezpieczne, że przez pewien okres czasu obawiano się kłęski Anglii i Francji.

W tej wojnie flota niemiecka jest „zakorkowana” w portach Północnego Morza i na Bałtyku. Wypływają na otwarte wody jedynie niemieckie łodzie podwodne, aby torpedować statki handlowe, wiozące towary i surowce dla koalicji. Łodzie podwodne nie miały większego powodzenia, wyjąwszy przypadkowe zatopienie 2 wielkich angielskich krążowników „Courageous” i „Royal Oak”. Jeszcze mniej sukcesów odniosły wielkie niemieckie hydroplany, które nie zdołały do tej pory zniszczyć żadnego okrętu wojennego.

W porównaniu z wojną światową niemieckie łowy na handlowe statki, wydały bardzo mierne rezultaty i dlatego marynarka Hitlera zastoso-



Uszkodzona przez ogień kontrtorpedowców angielskich, niemiecka łódź podwodna idzie na dno. Dwóch ludzi załogi zbliża się do okrętu angielskiego, który ich przyjmie na pokład. Inny marynarz przygotowuje się do skoku w wodę, aby pójść w ślady towarzyszy. (2453)



Wnętrze kabiny dowódcy w angielskiej łodzi podwodnej. (1016)

wała nową, nielegalną i zdraziecką broń, rozsiewając niezliczone miny, które unoszone prądami morskimi zatopili w pierwszych dniach około 14 okrętów towarowych i pasażerskich. Z statków tylko 5 było angielskich, inne należały do państw

neutralnych. Ale i z minami Anglicy dali sobie radę. Na morze wyrzuciły specjalne poławiacze, rozbijając miny strzałami lub też ściągając je do portów, gdzie się je niszczy. Niebezpieczeństwo min zmniejszono dzięki temu niemal do mini-

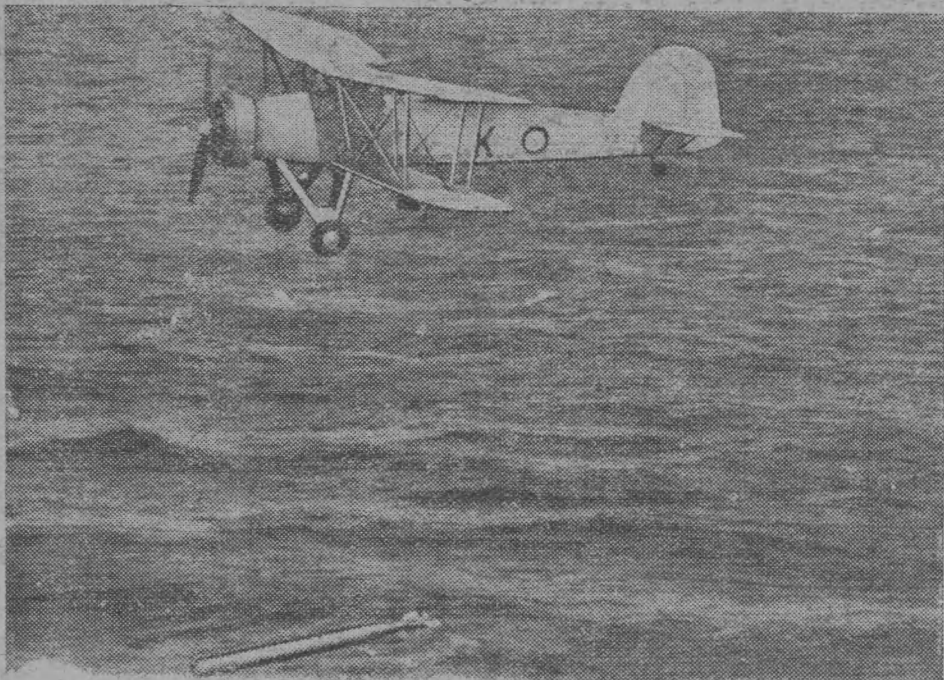
um. Tak więc żaden ze sposobów stosowanych przez Niemców w wojnie na morzu, nie przyniósł im spodziewanej przewagi.

Mszcząc się za niepowodzenia, samoloty niemieckie rozpoczęły bombardowanie bezbronnych kutrów rybackich, w rezultacie pogłębiając w świecie odrazę do Niemiec hitlerowskich za nieludzkie sposoby prowadzenia walki.

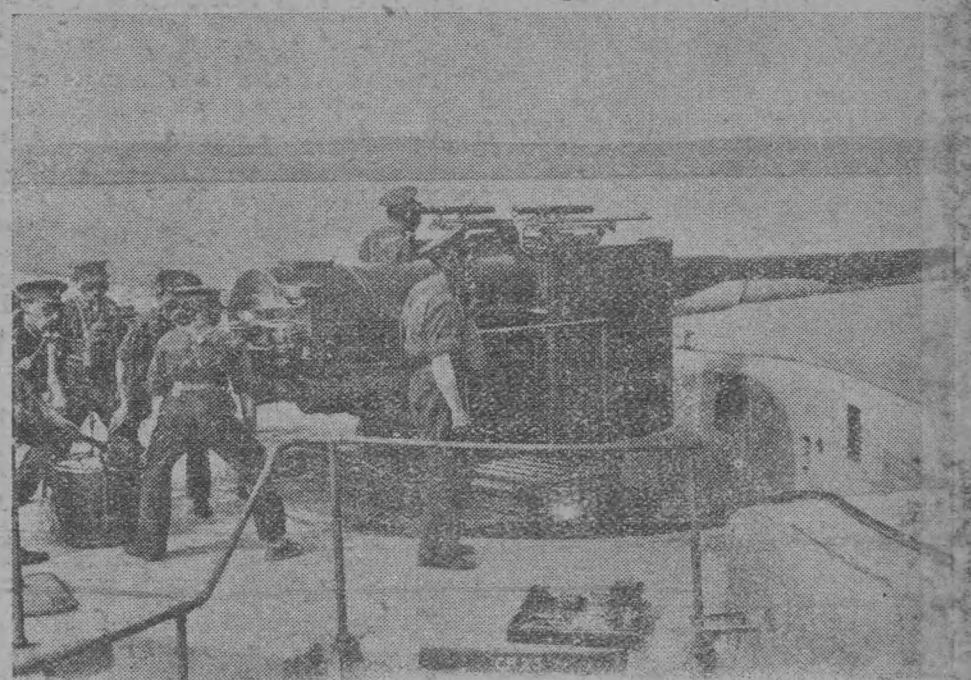
Znaczne straty niemieckie przechylają wynik wojny na morzu zdecydowanie na korzyść aliantów. Niemcy stracili ogółem blisko 60 łodzi podwodnych a spośród licznych statków jedną z najdotkliwszych była utrata statku „Admiral Graf Spee”, zatopionego przez własną załogę z rozkazu Hitlera, w obawie przed rozprawą z okrętami wojennymi aliantów.

Do tej pory króluje niepodzielnie potężna flota brytyjska na Morzu Północnym utrzymując blokadę Niemiec i odcinając państwo gangsterów hitlerowskich od całego świata. Dzisiaj już twierdzić można z całą pewnością, iż stan rzeczy nie zmieni się absolutnie ani teraz ani w przyszłości i w rezultacie stanie się przyczyną kłęski Niemiec. Zapowiedziane przez premiera Chamberlaina zaczerpienie blokady, przyspieszy jeszcze tę kłeskę, przybierającą z każdym dniem bardziej realne kształty.

Historia uczy, iż zwycięstwo zawsze odnosi ta strona, która dominuje na morzu, tak było z Napoleonem, którego po długich latach wojny pobili brytyjscy władcy morza, tak będzie i z nazistami, którym nie pomogą żadne nielegalne, zdrazieckie i podle metody walki.



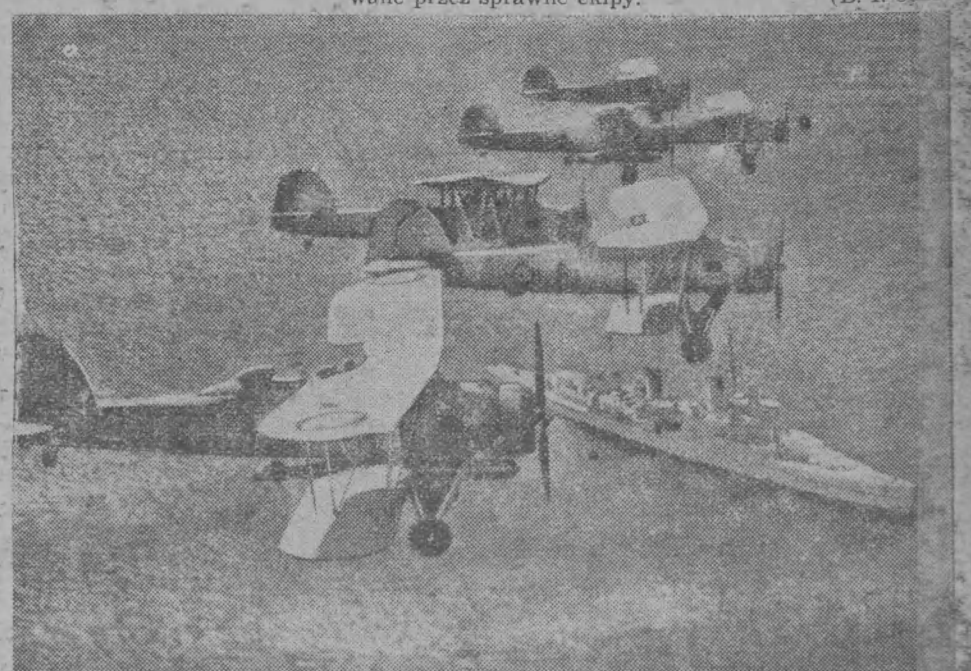
Torpeda powietrzna, wyrzucona z samolotu angielskiego, spada na okręt nieprzyjacielski. (B. I. 5083)



Wybrzeża Anglii są dobrze strzeżone. Rozciąga się przed nimi kilkudziesięciokilometrowy pas min, strzegą ich samoloty a poza tym na lądzie czuwają działa, obsługiwane przez sprawne ektypy. (B. I. 5084)



Przy karabinach maszynowych na angielskich bombowcach. (B. I. 5085)



Bombowce angielskie nad morzem. U dołu angielski okręt wojenny „Manchester”. (B. I. 5086)